

ZOFIA RATAJCZAK



KAZIMIERZ WIŚNIAK
CZARODZIEJ Z PODWÓRKA

UNIVERSITAS

KAZIMIERZ WIŚNIAK
CZARODZIEJ Z PODWÓRKA

ZOFIA RATAJCZAK

KAZIMIERZ WIŚNIAK
CZARODZIEJ Z PODWÓRKA

WYDANIE DRUGIE POPRAWIONE

KRAKÓW



Kraków

© Copyright by Zofia Ratajczak and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2019,
wydanie drugie poprawione

ISBN 97883-242-3566-7
e-ISBN 97883-242-2960-4
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Agnieszka Toczko-Rak

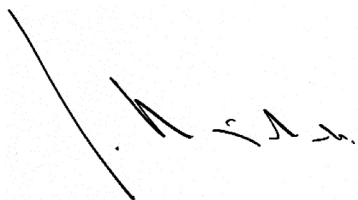
Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

Na okładce
Obraz Kazimierza Wiśniaka „Czarodziejski flet”,
ze zbiorów Kazimierza Paciorkowskiego.

www.universitas.com.pl

Kazimierz Wiśniak to znacząca postać w świecie kultury Krakowa. Ten wybitny scenograf przez lata był związany z najważniejszymi krakowskimi scenami: Teatrem im. J. Słowackiego, Starym Teatrem i Teatrem Bagatela – dopełniał od strony wizualnej dzieła najważniejszych reżyserów. Lista jego zawodowych dokonań – podobnie jak wyróżnień oraz nagród za nie – jest bardzo długa. Od czasu studiów w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych współtworzył Piwnicę pod Baranami – stawiał tam swoje pierwsze zawodowe kroki i jest związany z tym szczególnym miejscem do dziś.

Świat teatru był jednak tylko częścią zawodowej aktywności Kazimierza Wiśniaka. O tym, jak ważne były dla niego malarstwo, rysunek, grafika, a także poezja, dowiadujemy się z niniejszego eseju biograficznego, do lektury którego serdecznie zapraszam.

A handwritten signature in black ink, consisting of a long, sweeping diagonal stroke followed by several smaller, more intricate strokes.

prof. Jacek Majchrowski, Prezydent Krakowa

Pogoda czasu niechaj będzie z tobą,
Twego czasu i czasu gwiazdnych zegarów
Pogoda klepsydry...

Jarosław Iwaszkiewicz, *Mapa pogody*

WSTĘP

Kazimierz Wiśniak jest osobą znaną. Nie tylko w Krakowie i nie tylko w Polsce. Dużo o nim napisano, ale przede wszystkim Wiśniak sam o sobie napisał. I dużo opowiedział. To wiedza niemal kanoniczna. Ale czy kompletna? Czy to wystarczy, by sylwetka wybitnego artysty, działającego grubo ponad pół wieku na wszystkich niemal polach sztuki wizualnej i wciąż wzbogacającego swoimi dziełami przestrzeń publiczną, w pełni się ukazała? Lektura istniejących materiałów, odsłaniając coraz to nowe aspekty jego życia ze sztuką splecionego, prowadziła mnie do przekonania, że istnieją luki i niedopowiedzenia, że są pytania i kwestie istotne, na które nie było odpowiedzi. Z tego niedosytu wyłoniła się zachęta, by zanurzyć się w cudzym pięknie. Warto – pomyślałam – w tych wszystkich małych i dużych zwierciadłach, jakimi są poglądy krytyków i recenzentów, opinie widzów i wypowiedzi przyjaciół oraz kolegów, odnaleźć jakąś prawdę nadrzędną o nim, dotrzeć do sedna jego talentów nie tylko z życiem, ale z sobą splecionych, przyłączając się do głosu innych, podpowiedzieć nowe tropy interpretacyjne.

Od razu wyznam: wszystko, co w sztuce Wiśniaka wydaje się proste, takim nie jest. To moje pierwsze odkrycie i źródło zadziwienia. I pierwsza pokusa, by ten paradoks rozwikłać. Z prostoty często rodzi się złożoność, i to właśnie ta osobiwa złożoność w sztuce Wiśniaka przykuła moją uwagę. Chciałabym o niej opowiedzieć na swój sposób, prosząc Czytelnika o wyrozumiałość. Nie jestem teatrologiem, krytykiem sztuki ani recenzentem, nie zajmuję się historią sztuki ani muzealnictwem, ale może właśnie to uchroni mnie od konieczności używania konwencjonalnych chwytów, uczonej retoryki i zawilego argumentowania. Spróbuję o złożoności mówić w sposób prosty. To wyzwanie.

Odwaga, by pochylić się ponownie i po swojemu nad biografią artysty, brała się z głębokiego przekonania, że wiem coś więcej, a może i lepiej od innych o człowieku, który tak znakomicie zapisał się w kulturalnym życiu kraju, ale przede wszystkim w życiu Krakowa. Łodzianin z urodzenia, krakowianin z wyboru. Już ta „geograficzna” charakterystyka wywołać może odruch ciekawości u każdego, kto zna różnice nie tylko kulturowe tych dwu przestrzeni miejskich. Zresztą sam bohater tej opowieści często w wywiadach z dumą, ale i nie bez pewnego zdumienia lubi podkreślać: „Elity Krakowa mnie przyjęły”. Warto dodać, że od samego niemal początku, od czasu studiów w Akademii Sztuk Pięknych, bo to wówczas „Przekrój” łaskawie udostępnił swoje łamy młodemu rysownikowi.

Skąd się wzięły to moje przekonanie i ta odwaga? Ponieważ wiem, jak ważne w kształtowaniu drogi życiowej człowieka jest dzieciństwo. Wiem to z książek i z autopsji. Tak się bowiem złożyło, że nasze dzieciństwo upływało w tej samej przestrzeni: w mieście Łodzi, przy ulicy Przejazd, w drewnianych domach, takich, jakie widzimy w filmie Andrzeja Wajdy *Ziemia obiecana*. Domki te jakby trzymały się za ręce, a po przejściu sienią jednego lub drugiego prowadziły na podwórko, które było miejscem wspólnym: dorosłym służyło do pracy, dzieciom do zabawy. I to właśnie miejsce stanowi klucz do zrozumienia wielu mniej lub bardziej charakterystycznych przejawów sztuki Kazimierza Wiśniaka, a może także cech charakteru, przyzwyczajień i zachowań determinujących sukcesy, wzloty, ale i momenty zwrotne o charakterze kryzysowym. Moim zdaniem, to na podwórku wszystko się zaczęło. Pojęcie to odnosi się zatem nie tylko do sfery opisu konkretnego miejsca; to zarazem alegoria i metafora scalające wszystkie znaczenia i sensy związane z dzieciństwem jako epoką kreacji własnego „ja” i wykluczania się zdolności. To okres stopniowego odłączania się od środowiska rodzinnego człowieka. Ciągłe „razem” (tu z ojcem, matką, siostrami i bratem) powoli rozpada się, tworząc przestrzeń dla własnych, stworzonych na osobności, wyobrażeń o życiu i pracy.

Czytając wypowiedzi Wiśniaka i liczne omówienia jego dzieł, przeżywam coś w rodzaju *déjà vu*, dostrzegając wszystkie niemal elementy jego późniejszych dokonań w tym, co działo się wtedy, w okresie jego „podwórkowej” działalności. Trudno wykluczyć, że bez okresu podwórka Piwnica pod Baranami byłaby nieco inna, Lanckorona zajmowałaby w biografii Wiśniaka inne miejsce, plenery byłyby źródłem innych natchnień, a co najważniejsze – całkiem inaczej mogła by się układać współpraca z wybitnymi reżyserami.

Inna więc mogłaby być historia teatru polskiego. A przecież ileż było olśniewających pięknem oprawy scenograficznej przedstawień i jednomyślnych niemal opinii pochwalnych w reakcji na ekspozycje jego obrazów i grafik. Ile wyrazów wdzięczności w odpowiedzi na zachwycające urodą ilustracje książek, zwłaszcza poetyckich, uświetniających ważne imprezy plakatów, zaproszeń, druków ulotnych i ozdobnych winiet dla pism i działów tematycznych. Myślę, że twórca sam nie zawsze wie do końca, choć wydawać by się mogło, że on wie najlepiej, co w jego dziele skąd pochodzi, jaką ma ono genezę i jaki impuls zadziałał, by ono powstało. Nie roszczę sobie prawa do wyrokowania w sprawach tak delikatnej natury, chcę tylko podzielić się moimi supozycjami, jako świadek zdarzeń dziejących się na łódzkim podwórku w czasach dzieciństwa.

Udokumentowanie tezy o roli dzieciństwa i podwórkowej przeszłości w dalszym życiu Kazimierza Wiśniaka będzie wymagało starannej analizy wszystkich splotów jego życia ze sztuką. Chronologia jest więc nieunikniona. Ale w pracowym życiu scenografa widać wyraźnie tory równoległe, zaangażowania w różne projekty i zajęcia jednocześnie, pożegnania, a nawet radykalne decyzje zerwania, gdy przykładowo diagnoza stanu serca stała się przestrogą dla dalszego utrzymania legendarnego domku w Lanckoronie. Porzucając swoją letnią siedzibę, Kazimierz Wiśniak nie porzucił jednak Lanckorony, wręcz przeciwnie: zaangażował się w większym stopniu w pracę na rzecz lokalnej społeczności. I ten rozdział w życiu Artysty także ma swoją genezę w podwórkowej mitologii dziecięcych zachowań społecznych.

Nieustannie powracam do roli podwórka, ponieważ szukając klucza do późniejszej bogatej twórczości Wiśniaka, klucz ten tam właśnie odnalazłam. Co więcej, uważam, że bez wiedzy o wczesnych latach formowania się go jako człowieka i jako artysty nic do końca wiarygodnego powiedzieć się nie da. Potrzebna jest także rozmowa. Staralam się odzyskać sprawność dialogowania, by usunąć wciąż pojawiające się pytanki i sprawdzić niepewne hipotezy. Gwarancją powodzenia była jego gotowość do dzielenia się swoją najlepszą wiedzą o czasach i ludziach i o sobie samym w sposób bezpośredni, przyjazny i szczery. Wszyscy wiemy, że to gościnność i jakie ma ona znaczenie w relacjach międzyludzkich. To cnota nad cnotami i właśnie ona jest jedną z cech, które w osobowości Kazimierza Wiśniaka są obecne. Ona także jest odbłaskiem czasów dzieciństwa. Ta gościnność, tylko pozornie prosta, będąc źródłem radości, jednocześnie zobowiązuje do uważności i wyzbycia się pokusy jej nadużywania.

Człowiek, czytając o innym, chce się dowiedzieć jakiejś prawdy mającej związek z powagą życia, z istotnymi motywami jego wyborów życiowych. Laurka będąca miłym podarunkiem może chwilowo zaspokoić miłość własną. Gdybyśmy ją wysłali, adresując: „Radosny Samotnik na Salwatorze”, z pewnością trafiłaby do właściwych rąk. Ale w tym przypadku radość samotnika domaga się wyjaśnienia. Radosny, bo spełniony. A spełniony bo... bywał w krainie pod władzą Erosa. Darzony podziwem, potrzebny i pożądanym, był wielką miłością „drugiego”. Im bardziej ukryty jest powiew uczuć tym bardziej przyciąga uwagę. Fascynująca jest tajemnica powabów drugiego i jego związków z innymi, ponieważ pozwala wnikać w najbardziej istotną i zarazem intymną sferę życia – proces twórczy.

Jest to opowieść o tym, co robił Wiśniak jako artysta, żeby się to innym podobało, a jednocześnie jak pozostawał sobą. Innymi słowy, jak to się działo, że ciekawość ludzką potrafił nie tylko pobudzać, ale i zaspokajać. Budując aurę twórczego wrzenia wokół siebie, umiał ją zachować do dziś, jakby wiedział, że zachwyt to potężna dawka zachęty do życia, pobudzenie najszlachetniejszej próby, wolne od przymusu i nie na rozkaz. Piękno ukryte w dziełach Wiśniaka nie jest przemądrzałe; zostało zbudowane na mądrej prostocie. Nie takie, by „pod korcem” stać miało, ale by do uśmiechu umiało pobudzić i pobudzało, jak to opisane w Williama Blake’a *Pieśni niewinności*: z fantazją, ale bez sztucznej retoryki.

Chcę o Kazimierzu Wiśniaku opowiadać innym jak przyjacielom, którzy dużo o nim wiedzą, ale inaczej niż ja. A także by zjednać przyjaciół potencjalnych, bo wierzę, że taki rodzaj przyjaźni także istnieje. Opowieść ta może przydać się także tym, którzy po cichu myślą: „Autorytecio, wróć”, dostrzegając niewybaczalność zapomnienia i złudę kultowej postawy wobec tak zwanego postępu. Potrzebne są więc ślady i wzorce, tradycja i nowoczesność, o których tak przekonująco z młodymi potrafi rozmawiać bohater tej opowieści.

Bazą informacyjną dla tworzenia niniejszej książki były dwa autobiograficzne dzieła autorstwa Kazimierza Wiśniaka, co do których dla ułatwienia w całej pracy przyjęto skróty:

- *Z życia scenografa*, Wydawnictwo Baran i Suszczyński, Kraków 1998 – użyto skrótu „Mały album”;
- *Życie ze sztuką splecione*, Wydawnictwo Vandre, Kraków 2012, użyto skrótu „Duży album”.

U ŹRÓDEŁ MAGII

Przyjemnie czasem zgnieść w sobie rozsądek,
Jak pasożyta, co niszczy marzenie,
I z lęku życia uciec na przylądek
Samotnych rojeń! Jedno oka mgnienie –
I już tam jestem!...

Bolesław Leśmian, *Wspomnienie dzieciństwa*

Dzieciństwo to, mówiąc najkrócej i nieco kolokwialnie, okres wielkiej frajdy, nadzwyczajnej fundy¹, ale bywa, że i poważnej traumy. W tej pierwszej próbie pojednania losu z okolicznościami odurzona istnieniem mała istota ludzka nie umie jeszcze sobie poradzić. Ale już się do tego pali, wyrывa, wspina na palce i otwiera szeroko oczy. Chce widzieć więcej i wiedzieć, jak się dzieją różne zdarzenia i kombinuje, co

¹ Funda pot. że daje się komuś nadwyżkę, trochę więcej niż (od: fundować).

zrobić, by wziąć w nich udział. Zwłaszcza w zabawie. Ale nie tylko. Chce więcej i... stopniowo buduje swój własny świat, by w przyszłości zaistnieć poza przestrzenią pierwszych wtajemniczeń.

Jak opowiedzieć o cudzym dzieciństwie przez pryzmat własnego? Dwie fabuły czy jedna? Czy pamięć dziecka młodszego może być wiarygodnym narzędziem budowania opowieści o starszym, gdy góruje ono nie tylko wzrostem, ale i niezliczoną ilością sposobów wzbudzania zachwyty w zabawie, a potem w nauce? Moja rola jest tu podrzędna, drugoplanowa, pomocnicza, ale... no właśnie, uprzywilejowana przez fakt obecności.

Pisanie o innym za pomocą siebie może okazać się trudnym, ale zarazem trafnym sposobem dotarcia do istoty talentów, jakimi obdarzył bohatera tej opowieści los. Mój status świadka, o szeroko otwartych, pełnych podziwu oczach w okresie dzieciństwa, jest z jednej strony łatwy do podważenia (fantazjowanie dziecka), z drugiej zaś – może być gwarantem prawdziwości opisu (dziecięca ufność wobec świata i wyostrome zmysły).

Dzieciństwo jako faza życia Kazimierza Wiśniaka będzie tu traktowane jako dłuższy, niż to się na ogół przyjmuje, okres: od urodzenia aż do czasu ukończenia szkół – powszechnej i średniej. W istocie to dzieciństwo i wczesna młodość. Pozwoli to nadać bardziej spójną postać biografii, w której wywołana wojną pięcioletnią okupacyjną pauza odroczyła edukację szkolną. Dojrzewanie opóźnionych, a w gruncie rzeczy nadzwyczajnie zaawansowanych w rozwoju dzieci w tamtych czasach to historia sama w sobie godna uwagi. Dziwnym trafem te „anomalie” rozwojowe w wielu wypadkach procentowały w przyszłości, wzmacniając motywację do nauki oraz gotowość podjęcia pracy i życia na własny rachunek.

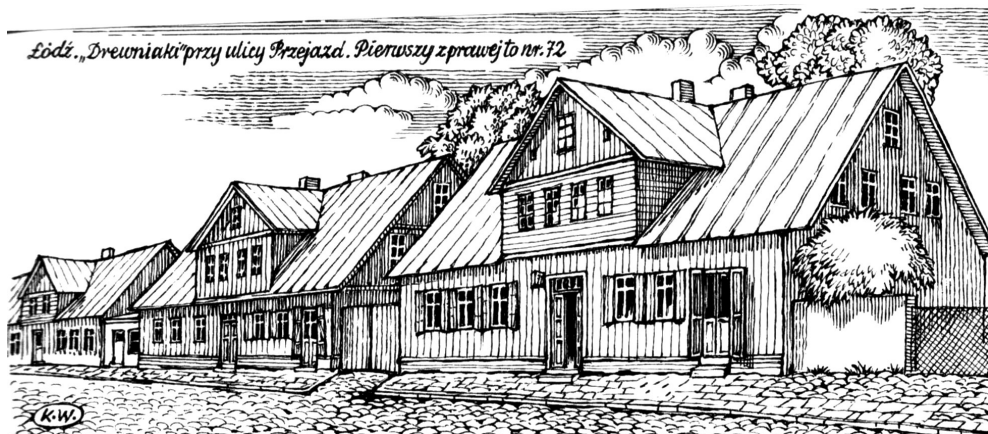
Taki obrót spraw będzie miał miejsce także w biografii Wiśniaka. Ale zanim to opiszę, w narracji o jego wzrastaniu i dalszym życiu pojawi się opowieść o roli podwórka. Ono było wspólne i może przez to wspaniałe. Zamieniam się w świadka, mówiąc, jak u Nabokova: „Pamięci, przemów!” (Nabokov 2018).

Podwórko

Skąd się wzięło podwórko? Ono istniało od zawsze. Przy najmniej w świadomości nas, dzieci. A tak naprawdę było skutkiem ubocznym realizowanych w przyspieszonym tempie planów zabudowy robotniczej części miasta, czymś, co

stopniowo kształtowane według potrzeb mieszkańców, stało się zarazem placem zabaw dla dzieci. Takich podwórek na zapleczu domów i kamienic było w tej części miasta zapewne więcej (por. Pabin 2014).

Nasza ulica łączyła wschód z zachodem szybko rozrastającego się miasta. Jej nazwa, ulica Przejazd, nie była przypadkowa – o nią, jako trasę przejazdową, cywilizacyjnie uprzywilejowaną, władze miejskie dbały: od wieczora była oświetlona, początkowo lampami gazowymi, a potem elektrycznością. Miejska gazownia stała naprzeciw naszych domów, elektrownia tuż za nimi. Ulica Przejazd stanowiła granicę, oddzielając Stare Miasto od szybko rozwijającego się w kierunku południa Nowego Miasta. Ciągające się równolegle na tyłach ulicy tory świeżo wybudowanej kolei żelaznej stanowiły barierę, która wymuszała budowę wiaduktów i tuneli. Na południe – tworzyła się szybko sieć ulic prostopadle wytyczanych i obrastających czynszowymi kamienicami. Nasze „drewniaki” wyróżniały się na tym tle, stanowiąc architektoniczną ciekawostkę, rodzaj skansenu, relikwitu epoki zaboru rosyjskiego, który przetrwał aż do końca lat siedemdziesiątych. Nie trzeba długo wyjaśniać genezy specyficznej architektury Łodzi: tworzyły ją gmachy fabryk włókienniczych, osiedla robotnicze i... fabrykanckie pałace.



Łódź była prawdziwą ziemią obiecaną. Dawała pracę okolicznej ludności, którą uwłaszczenie wypchnęło ze wsi i skierowało do łódzkich fabryk włókienniczych. Pokolenie naszych dziadków, a następnie rodziców, współtworzyło pejzaż tego fragmentu miasta. Na mapie odrodzonej Polski Łódź odsłaniała stopniowo nie tylko swój robotniczy charakter, ale także ambicje tworzenia instytucji oświatowych, opieki zdrowotnej, budownictwa spółdzielczego, a nawet szkoły wyższej (Wolna Wszechnica). Pod koniec lat trzydziestych była już

Il. 1. Rysunek Kazimierza Wiśniaka „Drewniaki” (tusz), budynki przy ulicy Przejazd, już nieistniejące

drugim ludnościowo miastem Polski. Po wybuchu drugiej wojny światowej włączona przez Niemców do III Rzeszy otrzymała nazwę Litzmannstadt. Naszą ulicę przemianowano na Meisterhausstrasse. Obraz Łodzi zaistniał w kulturowej przestrzeni Polski i świata dzięki filmowi *Ziemia obiecana* (1974). Dzieło Andrzeja Wajdy pozwoliło dodatkowo nasycić się osobiwym pięknem rodzinnego miasta.

O sobie powiem krótko: drewniany dom przy ulicy Przejazd 70 ma ścisły związek z historią mojej rodziny. Zaraz po wybudowaniu tego domu zamieszkali w nim Antoni i Katarzyna z Dłużniaków Szymczakowie, moi dziadkowie ze strony matki (przybyli z okolic Sieradza do Łodzi przed końcem wieku XIX za pracą), wkrótce po tym, jak się pobrali (ślub w kościele Świętego Krzyża). W skromnej izbie na poddaszu wychowało się ich siedmioro dzieci: cztery córki i trzech synów. W miarę zdobywania zawodu i pracy (głównie w fabrykach włókienniczych) opuszczali dom i urządzali się na swoim. W domu została najmłodsza córka Jadwiga, opiekująca się swoją wcześniej owdowiałą matką, a moją babką. Los sprawił, że spoczęły na niej obowiązki sprawowania także opieki nad dwójką siostrzeńców. Trafiliśmy ze starszym bratem Romanem pod jej skrzydła. Siostra Teresa znalazła dom w innej bliskiej rodzinie ze strony ojca w okolicach Żyrardowa. Po śmierci matki i aresztowaniu ojca praktycznie byliśmy sierotami. W trudnych czasach Ciocia Jadwiga była dla nas najlepszą opiekunką, zamieniała się w szewca, krawca (nie krawcową!) i stolarza, i tylko gotować nie bardzo umiała, a w rodzinie słynęła z wypieku zakalców. Najważniejsza była jednak jej miłość do dzieci, poczucie humoru i skłonność do zabawy (nie zawsze w granicach umiaru, jeśli chodzi o wino i śpiew). Zarabiała na nasze życie ciężką pracą w fabryce Scheiblera i Grohmana, na tkalni przy ulicy Wodnej.

Sięgając pamięcią czasów dzieciństwa, łatwiej odpowiedzieć później na pytanie: „Skąd się co wzięło?”. W wypowiedziach autobiograficznych Wiśniak odsłania sekrety swego dzieciństwa z rozbrajającą szczerością, bez zahamowań, nadając mu szczególne znaczenie. Czytając te wspomnienia, narzucała mi się nieodparcie chęć posłużenia się pojęciem „wdrukowania” w umysł i wyobraźnię dziecka pierwszych doznań. Zostaje wtedy uruchomiony istotny dla dalszego rozwoju człowieka proces nie tylko odbioru wrażeń i tworzenia schematów poznawczych, ale i powstawania wyobrażeń dotyczących rzeczy i ludzi, tworzenia się ich konstelacji, trwałych i przypadkowych, którym stopniowo człowiek nadaje znaczenia. Ta złożona konstrukcja psychiczna, gdy się uformuje, może zostać nazwana „wdrukowaniem”. W psychologii przejęto to określenie z nauk biologicznych

jako użyteczną analogię dla wyjaśniania wpływu środowiska na organizm jednostki bezpośrednio po narodzeniu się. Sens wdrukowania jest jasny. Pisklę lub jelonek muszą wiedzieć, kto jest ich opiekunem, muszą podążać za nim. Tworzy się wzorzec dla przyszłych relacji. W okresie dojrzewania podobne zjawiska są rozciągnięte w czasie i trudno jednoznacznie wskazać, co było przedmiotem owego wdrukowania. Na podwórku miały miejsce zdarzenia, zachowania, sytuacje, które stały się w przyszłości tworzywem w sztuce Wiśniaka, ponieważ dokonało się ich wdrukowanie. Wolno przypuszczać, że wyposażyły one jego wyobraźnię w zdolność powoływania nowego piękna już w innych okolicznościach.

Miejscem pierwszego poza domem spotkania ze światem było dla nas wielokrotnie już tu wymieniane podwórko – Kacza, moje i innych dzieci – przestrzeń ulokowana w środku wielkomiejskiej Łodzi, ale zachowująca charakter wiejski. Ogród pośrodku podwórka, kury i pianie koguta, króliki w komórkach i koń u wozu gospodarza z pobliskiego Bedonia, przywożącego wiejskie produkty na sprzedaż: mleko, jarzyny, kartofle i często słomę do wypełniania łóżkowych sienników – niosły sielskość. Ta sielskość w okresie okupacji znaczyła co innego. Mieszkańcy sami próbowali zaradzić niedostatkom zaopatrzenia w produkty żywnościowe, hodując króliki i wykorzystując każdy skrawek gruntu na zasiew zieleniny (najczęściej pietruszki). W tyle podwórka, za ostatnim „drewniakiem”, było zresztą ogrodnictwo; latem można było tam kupić ogórki lub pomidory. A najczęściej rabarbar, kojarzący się do dziś z okresem okupacji.

Mówiąc o zabawach, trzeba powiedzieć o szalonym wariowaniu, ale i spokojnej grze w klasy, w głuchy telefon, w szkołę, sklep, fryzjera, a nawet... w odprawianie nabożeństwa. Wspomnieć też trzeba o tym, że chodzono czasami do kina, do cyrku, gdy rozbił swoje namioty cyrk Sarassani lub Althoff, na wycieczkę do parków: Trzeciego Maja lub Źródliśka, albo do lunaparku na Wodnym Rynku. Bawiliśmy się także, chłopcy i dziewczynki, w męża i żonę, w lekarza i szpital, a Kazik pokazywał atlas anatomiczny; wsiadaliśmy do pojazdów miejskiej komunikacji z biletami, które rysował nasz kolega, albo do dorożki powożonej przez dorożkarza z batem. Zapamiętałam słodycz wspólnych zabaw, nieopanowane wybuchy śmiechu i chichotania po kątach, gdy opowiadano historie nie z tej ziemi, zmyślone sensacje o chłopakach, którzy robili „to” z dziewczynkami – ale co to było to „to”, nie bardzo było wiadomo.

Nasze podwórko było przedszkolem i szkołą, boiskiem i placem zabaw, areną i teatrem, czyli miejscem nauki i pracy, rozrywki, gier i zabawy. Było sceną życia wykreowanego pomysłowością dzieci, w atmosferze aprobaty, a nierzadko

podziwu dorosłych i ich cichej zgody na niechętnie powracające do domu rozbawione dzieci. Było jednocześnie zwyczajne, zapyziałe, okresami zaniedbane, dalekie od porządku, a więc, jak pewnie każde w tych czasach podwórko w naszej okolicy, było miejscem zarazem zwyczajnym i nadzwyczajnym, może właśnie dlatego magicznym.

Należałam do grona szczęśliwych dzieci. Lekcje Kazia były darem niebios. Rysowanie było jego pasją, potrafił narysować wszystko. Miało się wrażenie, że oto dzieje się coś magicznego, jak ruch figury na ekranie. Opadająca pończocha kobiety, wystrojonej, na głowie ma modny wówczas turban, piękne buciki na korku, krótka sukienka, szyk i powab niezwykły. Wyczarował obrazek jak z żurnala, pokazując co jest modne i noszone przez eleganckie panie. Właśnie te chwile najbardziej kojarzą mi się z magią i czarodziejstwem. Potrafię do dziś narysować to, czego nauczył mnie wówczas kolega z podwórka.

Tak o tym okresie pisze Wiśniak:

Ukończyłem pierwszą klasę, a kiedy zacząłem drugi rok nauki wybuchła wojna i szkołę zamknięto. Ale niebawem na naszym podwórku trochę starsze dzieci zaczęły bawić się z nami w „szkołę”, w której zdarzały się nawet lekcje niemieckiego. Ja oczywiście byłem podwórkowym nauczycielem rysunków. Moje lekcje polegały na tym, że każde dziecko przynosiło swój zeszyt, a ja rysowałem w nim to, co sobie życzyło – a to zamek, a to znów lalkę, albo psa (Wiśniak 1998: 32).

Co można było robić na podwórku? Niemal wszystko, zwłaszcza pora lata sprzyjała przebywaniu „na dworze”, czyli na świeżym powietrzu. Wyjście „na dwór” oznaczało wstąpienie do krainy wolności, wejście na jakąś obszerną scenę, z ogrodem pośrodku, w którym rosło potężne drzewo

Il. 2. Rysunek Kazimierza Wiśniaka „Chłop sprzedawca drewna” w piśmie „Salwator i Świat”



(lipa!) i wabiła tajemnicą altanka. Najwspanialszym elementem podwórka był ogród Lewina, zajmujący jego centralną część, ogrodzoną ze wszystkich stron drewnianym płotem i komórkami, które otaczały ogród. Wokół ogrodu był szeroki brukowany objazd, służący dzieciom do uprawiania szalonej gonitwy.

Przed wojną dwa razy w tygodniu, w dni targowe, przyjeżdżała fura ze wsi. Zawsze ten sam chłop z Bedonia przywoził w bańkach mleko i śmietanę. Bywały też jaja, sery i owoce. Po zakończeniu transakcji wóz objeżdżał „traktem” ogród Lewina i tą samą bramą wyjeżdżał znów na ulicę. Chłopcy czepiali się wozu, by potem odczuwać boleśnie z daleka powrót do domu. Ale takie zwyczaje panowały do wybuchu wojny. To są wspomnienia Kazia.

Czego nauczył mnie Kazik? Lista umiejętności przydatnych w późniejszej karierze szkolnej jest długa. Na „lekcjach” nauczyłam się pisania, naprzód liter alfabetu potrzebnych do złożenia nazwiska, potem imienia, a potem już wszystkiego, co tylko można napisać. Znowu czarodziejstwo. Potem czytanie, sylabizowanie takie trudne i znacznie mniej atrakcyjne. Obok elementarz, Falskiego oczywiście (Falski 1934). Jakieś rysunki. Literki łączą się z sobą, jakby się brały za ręce. Coraz więcej tych liter i słów. Słucham, jak inne dzieci dukają, a jak płynnie czytają dorośli, staram się pokazać, że potrafię jak dorośli, wspomagając się pamięcią. Trochę oszukuję. Nasz kolega umie także zrobić strój z bibułek, czapkę krakowską z papieru, z kapy na łóżko – kurtynę, która coś zasłania, ale zaraz jak się odchyli – będzie widowisko. Potrafi wyczarować bilety do lunaparku i zjeżdżalnię na poręczy drewnianych schodów swojej „Arki”. Ale także dzięki niemu zaczynam z innymi dziećmi coś tam mruczeć pod nosem, recytować wierszyki i śpiewać. Wygłupiam się i po kątach chowam jak inni, bo duże podwórko, pełne skrytek, dobudówek i kątów, jest wprost stworzone do zabawy w chowanego.

To jeszcze nie koniec: Kazio potrafi nauczyć dziergania na drutach, podpowie, jak zrobić czapkę zimową i szalik na zimę. Szydełkowanie to już nic trudnego, a nawet wyszywanie kwiatków na poduszce, która będzie ozdobą. Zabawa w przekładanie sznurka z rąk do rąk z coraz to bardziej złożonymi figurami. Pomoże narysować „luda” kredą na betonie, żeby gra w klasy mogła się odbywać koło ślusarni pana Quirama, Niemca. I potrafi zadziwić książką „zakazaną” z tajemniczymi ilustracjami różnych organów z wnętrza człowieka.

Po lewej stronie naszego podwórka stała długa ławeczka drewniana, pod schodami prowadzącymi do jakiegoś pomieszczenia na piętrze, może suszarni? Ławeczka była naszym ulubionym miejscem zasiadania do zabawy w głuchy telefon. Nadawca szeptał do ucha pierwszemu dziecku jakieś słowo, ono przekazywało to słowo następnemu do ucha itd. Słowo przekręcano tak, aby wypowiedziane głośno przez ostatnie dziecko wzbudzało dużo śmiechu. Taka twórcza zabawa w poszukiwanie słów blisko brzmiących, rymujących się, przykładowo „piosenka”, a w finale „panienka”, była bardzo kształcąca

Tuż za ową ławeczką z otwartych drzwi murowanego domku buchało wilgotne ciepło. Wewnątrz, w kłębach pary i ulatujących baniek mydlanych, gospodynie prały non stop bieliznę, pochylając się rytmicznie nad blaszaną tarą zanurzoną w balii. Nie pranie, ale wzlatujące bańki o tęczowych blaskach budziły nasz zachwyt. Czekaliśmy niecierpliwie, która z baniek wyleci na podwórko, bo i to się zdarzało. Rozciąganie i prężenie sznurów oznaczało koniec prania. Rozwieszona pościel rozświetlała podwórko, a przy słonecznej pogodzie na rozwieszonych prześcieradłach udawał się teatr cieni.

Pralnię należało zamówić, w okresach przedświątecznych tworzyły się kolejki. Trzepak do trzepania chodników i wietrzenia pościeli służył do zabawy, odbywały się ćwiczenia figur nieprawdopodobnych, przekręcania się i popisów gimnastycznych. Drewniane komórki służące do przechowywania opału na zimę stały w dwu równych rzędach, jeden z nich stykał się z ogrodem Lewina. W lecie komórki umożliwiały hodowlę królików dla uzyskania mięsa, a skórki gromadzono na futerka dla dzieci. Komórki kryły wiele ciekawych rzeczy. W jednej króliki, w drugiej stare kufry i walizy, w trzeciej znoszone ubrania, zardzewiałe garnki, niepotrzebne nocniki, w jeszcze innej – kury siedzące na jajach. A w każdej sterta węgla i drewno na opał. Zaglądaliśmy ciekawi tych wewnątrz przez szpary w deskach, dziurki po wypadłych sękach – ot, taki podwórkowy „fotoplastykon” mieliśmy na wyciągnięcie ręki.

W pewnym oddaleniu od pralni stały „wygódki”, w dwu rzędach, kabinki dla lokatorów, po trzy z każdej strony. W rzeczywistości były to raczej „niewygódki”, konieczne, chociaż mało bezpieczne, a dla dzieci – zniechęcające do korzystania. Tuż za owymi wygodkami stała jakaś skrzynia z otworem do wyrzucania śmieci. Między ogrodem Lewina a pralnią była pompa do czerpania wody. Na okrągłej platformie z desek wyrastał główny „pień” z metalową dźwignią, zakończoną jakby ślimakiem na końcu. Służyła ona do pompowania wody i do zabawy. Można było się unieść i cieszyć oko strumieniem wody wypływającej z paszczy żeliwnego potwora. Na głowie miał róg do zawieszania wiadra. Dźwignią

niełatwo się poruszało. Dorosłe, silne osoby – jedną ręką, w rytmie, pochylając się, słabsi – dwiema rękami; dzieci się kładły, by dźwignię uruchomić.

Wspomnienie dotyku dźwigni i zimnej wody jest żywe, orzeźwiające, zachowane w pamięci do dziś. Było to także miejsce spotkań starszych i dzieci. Pogawędki w tym miejscu to osobny rozdział. Wiadomo, że studnia to ważne urządzenie, wodopój, podstawa prowadzenia gospodarstwa, utrzymania higieny itp. Ale także miejsce zabawy, na przykład na pompie zakończonej ślimakiem można było urządzić sobie huśtawkę, trenować skoki, pompować wodę służącą do zabawy, do polewania się w czasie letnich upałów. Podwórkowa studnia to obiekt mityczny, uosabiający syntezę tego, co najistotniejsze dla ciała i duszy.

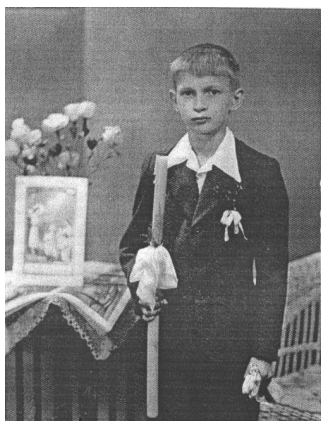
Za ustępami-wygódkami stała olbrzymia drewniana skrzynia, w której mieniły się wszystkimi niemal barwami sprężyny znoszone przez pracowników położonej tuż obok ślusarni Quirama. Był to płaski parterowy murowany budynek z trzema wielkimi oknami i zawsze otwartym szerokim wejściem. Wewnątrz, wśród maszyn, kręcili się jedyjni mężczyźni naszego podwórka – robotnicy w granatowych fartuchach. Wchodzili, wychodzili, właśnie wynosili nowe sprężyny. Sprężyny były błyszczące, kolorowe odbijało się w nich światło, niektóre mieniły się tęczowo, a inne były smoliście czarne; wydawało się, że będą się zachowywały jak sprężyny, czyli się gięły, a tymczasem były twarde i nieugięte, potrafiły boleśnie skaleczyć palce rąk lub nogi podczas skakania w wypełnionej nimi skrzyni. Przed budynkiem wybetonowano pas chodnika. Można było na nim rysować. I rysowaliśmy; robotnicy nam pozwalali. Kreśliliśmy kredą kratki, ponumerowane tak, by można było się popisywać skokami na jednej nodze.

Dalej ciągnęły się rzędem komórki, komórki... i tak aż do miejsca, gdzie stał kolejny dom drewniany, na tyłach podwórka. Tam mieszkały siostry Hania i Zosia Rumowiczówny. Ich tata także był nieobecny; został wywieziony. Często bawiliśmy się razem, głównie piłką odbijaną w coraz bardziej wymyślny sposób od ściany. Wygrana należała do tej dziewczynki, która wykonała serię odbić bez utraty piłki (piłka nie mogła dotknąć ziemi). Chciałam wygrywać!

Chłopcy – też grali w piłkę, ale inaczej (w dwa ognie lub kopanego), grali też w cymbergaja i w monety. Rzucali je o ścianę, a te odbijały się i padały na ziemię. Wtedy mierzyli odległość między nimi, która nie mogła być większa od rozciągniętej dłoni. Inna zabawa chłopców – toczenie przed sobą kółka – którym była fajerka² utrzymywana przez

² Żeliwny krążek do nakładania na płytę pieca, pod garnek.

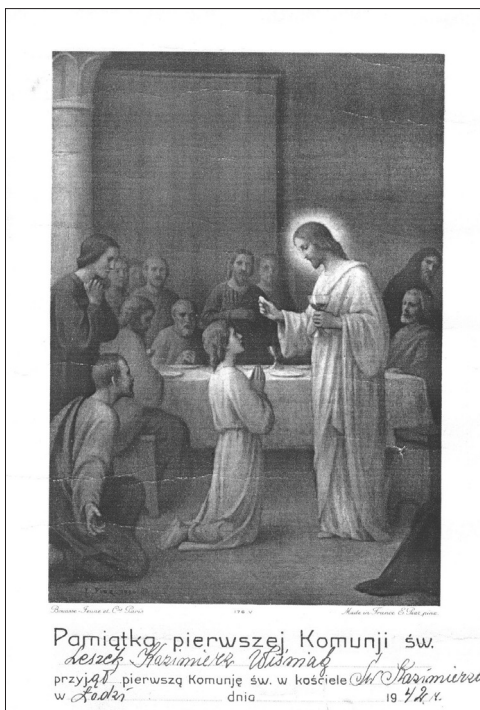
II. 3. Kazimierz Wiśniak,
zdjęcie komunijne, 1942



odpowiednio wygięty drut. Ponadto chłopcy grali w tak zwaną kłipę. Dziewczęta, oprócz gry w klasy, bawiły się lalkami. Dla chłopców było jeszcze jedno zajęcie:

W czasie niemieckiej okupacji chłopcy zbierali znaczki pocztowe, często znajdowane w śmietnikach. Pozbawieni nauki szkolnej mieliśmy dużo czasu na wzajemne odwiedziny i przeglądanie klaserów. Matka moja wydobyła stare listy, bym mógł odklejać nad parą przedwojenne znaczki z portretem marszałka Józefa Piłsudskiego. Miałem już ponad 100 znaczków, wśród nich najwięcej obiegowych niemieckich z profilem Hitlera w różnych kolorach i wartościach. Najpiękniejsze to znaczki z dalekich kolonii. Pobudzały wyobraźnię. Przy ich oglądaniu potrzebna była rozłożona obok mapa świata, aby wiedzieć, gdzie taki czy inny kraj się znajduje. Dzięki temu zdobywaliśmy wiedzę geograficzną (Duży album: 96–98).

II. 4. Kazimierz Wiśniak,
Pamiętka Pierwszej
Komunii Świętej, 1942 rok



Wróćmy na podwórko. Zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, trafiamy na „gęstą” i mało rozpoznawalną jego stronę. Jakąś zupełnie inną w charakterze, jest jakieś pomieszczenie, kamera, w której za metalowymi drzwiami z trupa czaszką i czerwoną błyskawicą widać urządzenie zapewniające dopływ prądu (transformator?), zawsze coś tam brzęczy, huczy, robi się trochę strasznie. Potem mała oficyna z nadbudowanym pięterkiem. Mieszkańcy parterowej części tej oficyny, dwaj bracia Zdobysze, rzadko pojawiają się na podwórku, oni także są pod opieką jakiejś kobiety. No i jesteśmy znowu od frontowej części. Znów koło „Arki”, w której mieszkają Ala Stępniońska, Danko i Wiesia Góralczykówny, Henia Kajak na ostatniej kondygnacji, Waldek Schramm na parterze, a z sieni wynurzyć się może w każdej chwili Kazio Wiśniak. Wiadomo, że mieszka na piętrze, okna jego pokoju wychodzą na ulicę, może z mieszkania oglądać to, co dzieje się poza przestrzenią podwórka. A dzieje się tam dużo. To inny świat. W dali ruchome dźwigi i wózki z koksem obsługujące miejską gazownię, przejeżdżające ulicą tramwaje, wozy z opałem, czasem przemykające dorożki. Można zobaczyć żandarma („z kogutkiem”), może tam chodzić zarówno za dnia, jak i wieczorem oraz w nocy. Budzi ciekawość, ale i lęk.

Cudowne letnie wieczory i długotrwałe spotkania rodzinne wokół piecyków

zimową porą. Latem – rozhukane, rozbawione i „umorusane” dzieci naszego podwórka, zimą – okutane w wielowarstwowe ubrania, niecierpliwie czekające, aż minie mróz i roztopi się zbrudzona śnieżna bryła wzdłuż trotuarów. Upajający zapach mroźnego powietrza zimą i widok budzącego się wiosną ogrodu w środku podwórka jako zapowiedź letniego wariowania – to istotne „punkty” pamięci okresu naszego dzieciństwa.

Każdy wieczór i każdy dzień były inne. Pory roku zmieniały rytm dnia i nocy, jak od początku świata, ale w owych czasach wymuszały inne zachowania zaradcze. Nasze drewniane domy latem zamieniały się w „łaźnie parowe”, a podwórko wypełniała dzieciarnia z nieugaszoną potrzebą zabawy. W porze zimy z wychłodzonego mieszkania wychodziło się „na dwór” w krajobraz przypominający koło podbiegunowe. Upalne lata i siarczyste zimy zwiększały udrękę codziennego bytowania, ale dzieci jakoś sobie radziły, organizując po swojemu wolny czas, mimo wszystko pełne radosnego wigoru.

Zawsze jednak, latem czy zimą, po powrocie do domu witało nas wieczorem światło lampy naftowej. Dziwna rzecz, niezrozumiały kontrast: naprzeciw naszych domów usytuowana gazownia miejska, obok elektrownia, parterowe mieszkania zajmowane przez niemieckich lokatorów oświetlone elektrycznością, a u nas – po staremu: panowała epoka lampy naftowej.

Cudowna lampa. Alladyna? Nie, zwyczajna, naftowa, ale przez kontrast ze światłem elektrycznym – z jednej strony – i z ciemnościami egipskimi z drugiej zasługująca na nazwę cudownej. Gdy po powrocie do domu opadał kurz zabawy, widok zapalonej na stole lampy kojarzył się z atmosferą baśniowej komnaty. Lampa stawiała się królową wieczoru, nie tylko oświetlając podane jadlo; jednocześnie też rodzinę, używając blasku twarzom, nawet gdy do radości było daleko.

Światło ma zawsze moc jednoczenia ludzi i rzeczy, ale światło lampy naftowej miało tej mocy więcej. Wydobywało z mroku ważne przedmioty, a inne chowało w cień. Rytuał zapalania lampy, troska o nią i lęk, że może zabraknąć nafty sprawiały, iż szanowano ją jak skarb, troszczono się, przycinając

Il. 5. Gazownia miejska w Łodzi na pocztówce sprzed pierwszej wojny (ze zbiorów Kazimierza Wiśniaka)



Il. 6. Zabudowania łódzkiej gazowni, 1950 (rys. K. Wiśniak, tusz); taki był widok z okna mieszkania Kazimierza Wiśniaka w Łodzi (z archiwum K. Wiśniaka)



Il. 7. K. Wiśniak: Matka
siedząca przy stole, 1948.
Rysunek tuszem ze zbiorów
Hieronima Sieńskiego

knot, i starano się polubić jej charakterystyczny zapach. Lampa naftowa inaczej organizowała życie domowników niż światło elektryczne, unieważniające w jakimś sensie znaczenie rytuału. Zapalanie pod wieczór i korzystanie z jej dobrodziejstw wprowadzało nastrój uroczystej celebracji przy wykonywaniu najwykleszych czynności codziennych, jakaś dodatkowa uważność się pojawiała, zachęcając do zasiadania przy tak rozjaśnionym stole.

W okresie okupacji w rodzinach nie widywało się mężczyzn. Same kobiety: matki, ich siostry, dalsze krewnie. Mężczyźni gdzieś poznikali. Mówiło się, że wywieziono ich „na roboty”, do niewoli, do obozu, że gdzieś się poukrywali. Wrażenie opresyjności było wywołane nieobecnością mężczyzn i tęsknotą za nimi.

Nie mieli ojca w domu: Urszula i jej brat Edek Graczyk; wspominał nieobecnego tatusia mój rówieśnik, mały Andrzej Kotynia; rzadko wpadał na chwilę ukrywający się nasz ojciec (mego brata Romana i mój) Stanisław Kapuściński; opiekę nad Mietkiem Wasiakiem z parteru sprawowali dziadkowie. Dziwiło nas, dzieci, że w mieszkaniu na pierwszym piętrze zawsze można spotkać Relę, ale i jej brakowało nie tylko ojca, lecz i mamy. Była pod opieką jakiejś krewniej: śliczna, czarnowłosa i czarnooka, szczęśliwa posiadaczka lalki, która zamykała oczy i mówiła: „Mama” i „Tata”. Relę prawie nie opuszczała swojego pokoju, rzadko widywano ją na podwórku, za to chętnie bawiła się z nami, dziewczynkami, w mieszkaniu, pozwalając lalce znikać w objęciach odwiedzających ją koleżanek. Zosia i Elżunia Lewandowskie z kolei asystowały mamie, która po wywózce ojca rodziny przez cały okres okupacji prowadziła magiel. Dzieci lubiły przesiadywać godzinami w maglu, gapić się w przesuwające się ze zgrzytem wałki z pościelą i... podsłuchiwać, o czym plotkowały gospodynie. To były ciekawe rozmowy. Szkoła życia.

Ale i w sąsiednim domu, w „Arce”, także mężczyzn jakby wymiotło. W domu Góralczyków zostały pod opieką matki Danki i Wiesia, bez ojca chowała się Alicja Stępniońska. Nie od razu było wiadomo, że Leszek Wiśniak mieszka tylko z siostrami i mamą, bo ojciec jest gdzieś daleko, i nawet nie zauważono, że jego starszy brat nagle gdzieś zniknął, albo, jak wówczas mówiono, „ulotnił się”. Rzadko wychodzili na podwórko, ale nigdy razem, wspomniani już bracia Zdobysze. Ukrywali się?

Długotrwała nieobecność mężczyzn musiała odcisnąć się na wychowaniu i na psychice dorastających dzieci. Represje

władz niemieckich wobec ludności terenów włączonych do Reichu prowadziły do rozbijania rodzin, a długotrwała rozłąka powodowała poczucie niezawinionej traumy. W ich wychowaniu dominował pierwiastek kobiecy i adresowane było zobowiązanie, by pomagać we wszystkich pracach związanych z prowadzeniem gospodarstwa. O tej stronie swojego życia Kazimierz Wiśniak mówi obrazowo zarówno w wywiadach, jak i we wspomnieniach biograficznych. Pomagał schorowanej matce, która często chodziła na pobliskie tory kolejowe zbierać węgiel rozsypany z wagonów, dźwigała go w worku zgarbiona od bólu i ciężaru. Wtedy czekający w pobliżu Kazik odbierał od matki wypełnione węglem worki.

W podwórku jak w lustrze odbijało się życie domowników. Dzieci wychodziły, trzymając pajdy chleba w ręce, i widać było, co się jada w domu. Rzadko frykasy. Kromki chleba czarnego, nasączone wodą z cukrem, polane olejem, posmarowane marmoladą z buraków. Ale czasami – z margaryną i plasterkiem jakiegś nędznej wędliny – to dziecko z rodziny mającej krewnych na wsi dostąpiło szczęścia i chciało się nim pochwalić.

W tamtych czasach Niemcy pilnie strzegli kontaktów ludności miejskiej z okolicznymi wieśniakami. Zdarzały się pobicia odważnych szmuglerów, nierzadko tragiczne w skutkach. Wydarzyło się to w mojej rodzinie. Zatrzymana, wsiadająca do tramwaju z kawałkiem jakiegoś „zdobycznego” mięsa, pobita dotkliwie przez żandarma babcia, wkrótce po wydobyciu jej z aresztu, zmarła.

Najbardziej pobudzało naszą wyobraźnię to, co działo się w domu i było „wynoszone” przez dzieci w zabawach i kontaktach. Różne sekrety rodzinne, skarby powyciągane z szuflad i strychów: stare naklejki, pudełka po kawie, herbatcie i kakao, zabawki, lalki szmaciane i wózki dla lalek, części od starych rowerów, pogrzebacze i fajerki, laubzegą³ wycinane ze sklejek figurki, z papieru klejone tak zwane boby lub latawce, robione papierowe zabawki „niebo–piekło”, i wiele innych. Przebierano się w cudze ubrania, grano w chińczyka, w warcaby (nie wszystkie dzieci umiały). Najważniejsze były jednak zajęcia, w których można było nasycić się wspaniałością powstających błyskawicznie obrazków rysowanych ręką Kazia Wiśniaka. Jego postacie nosiły modne ubiory, ożywały na papierze, mam wrażenie, że już wówczas Kazio stawał się przyszłym kostiumologiem.

Niby nie było na naszym podwórku nic szczególnie malowniczego, z wyjątkiem tajemniczego, tryskającego w porze lata zielenią ogrodu z pobudzającą do marzeń altanką, ale

³ Cienka piłka do wyrzynania otworów, najczęściej chwytna z dwóch stron.

wszystko razem tworzyło klimat przyjaznej, swojskiej przestrzeni, sprzyjającej organizacji codziennego bytowania. Miejsce to pięknieje we wspomnieniach: ulubiona ławeczka pod schodami, komórki, ślusarnia dająca swoim nieustannym szumem pracujących maszyn poczucie jakiejś normalności, pracowitego zaaferowania, wytwarzania czegoś pożytecznego. No i te odpady z tokarek, metalowe sprężyny w tęczy kolorach w wielkiej skrzyni, ich skumulowana siła pozwalająca dzieciom wzbijać się aż do upojenia w powietrzu. Wszystko to nabierało cech jakiegoś czarodziejstwa, gdy pojawiał się na podwórku Kazio Wiśniak, nasz kolega z „Arki”.

Ale zarówno on, jak i inne dzieci próbowały kosztować wolności poza przestrzenią podwórka. Trzeba było wyjść na ulicę. Ona bywała niebezpieczna, głównie z powodu zagrożeń związanych z funkcjonowaniem okupacyjnych porządków, jakie wprowadziła administracja niemiecka. Widok żandarma działał paraliżująco. Pejzaż ulicy zasadniczo różnił się od sielskiej krainy podwórka. Nasze drewniane domki oddzielały od siebie (albo łączyły) dwa kontrastujące z sobą światy: wiejski na podwórku i miejski, całkowicie odmienny – na ulicy. Tam – duży ogród, kury, króliki, tu – trotuary i jezdnie, po których jeździły tramwaje, wysokie, metalowe słupy elektryczne, lampy oświetlające każdy zakamarek. Wyjście na ulicę to wkroczenie do zupełnie innej przestrzeni, dostarczającej innych obrazów, przeżyć i doznań. Pomimo lęku miało się wrażenie większych możliwości. Pojawiała się pokusa wędrówki, odbycia jakiejś podróży, z celem albo nawet i bez celu, przed siebie, coraz dalej od domu... ale tak, by nie stracić go z oczu, z pamięci, nie zgubić się.

Od naszej ulicy Przejazd można było w prostej linii dotrzeć do głównej ulicy miasta Piotrkowskiej (przemianowanej na Adolf Hitlerstrasse), a to był zupełnie inny świat. W kierunku wschodnim szło się do Parku 3 Maja, na południe – do Parku Źródliska. Idąc ulicą Wodną, po drodze można było wstąpić do kościoła Salezjanów (kaplicy). Niektórzy chłopcy chodzili do prowadzonej przez zakonników tego zgromadzenia szkoły rzemiosł.

Ulicą Wodną docierało się na Wodny Rynek. Jeszcze można było iść na południe równoległą do Targowej, nudną, monotonną, pozbawioną jakichkolwiek atrakcji ulicą Doborczyków. Kolejna równoległa ulica, Kilińskiego, mogła zatrzymać uwagę szeregiem czynszowych kamienic. To była ciekawa ulica; przy rogu z ulicą Przejazd stał imponujący gmach poczty, z wejściem po schodkach. Potem szła ulica Sienkiewicza, a na jej narożniku cieszył oko parafialny kościół Świętego Krzyża, w którym zarówno moi dziadkowie, a potem moi rodzice, jak i rodzice Kazia brali ślub. Idąc

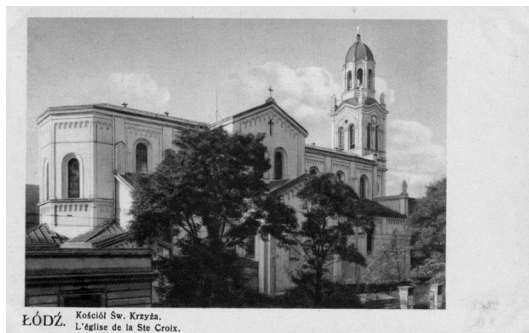
Przejazdem na wschód od naszych domów, docierało się do ulicy Zagajnikowej, na której w okresie międzywojennym wybudowano okazałe gmachy szkolne. I tak wędrowaliśmy tam w gronie dzieci wzdłuż torów, w zieleni, na łonie natury w kierunku Parku 3 Maja. To był park naszego dzieciństwa. Po latach jeden z kolegów szkolnych Kazia tak opisał to miejsce:

(...) Ma kształt wydłużonego trapezu (ok. 23 ha). Powstał na ternie dawnego obrębu leśnego Zagajniki (stąd ulica Zagajnikowa), dawnego lasu miejskiego, który przecięty w 1864 r. linią kolei żelaznej Łódź Fabryczna–Koluszki, przetrwał do czasu I wojny światowej jako pozostałość dawnej Puszczy Łódzkiej. (...) Po odzyskaniu niepodległości w latach 1920–23 założono tu park, według projektu Leona Kolačzkowskiego. W roku 1922 odbył się tu Zlot Harcerstwa Polskiego. Organizowano tu półkolonie letnie, a w 1928 wykopano pośrodku parku sztuczny staw o pow. 0,15 ha (z listu K. Kowalczyka, 2000).

Na rogu Przejazdu i Wodnej była apteka, do której wchodziło się też po schodkach; wspomina ją czule przyjaciel Wiśniaka z lat szkolnych Kazio Kowalczyk. On też jest autorem fotografii „posesji”, czyli miejsca po zburzonych drewniakach przy dawnej ulicy Przejazd (obecnie Tuwima), ale „Nie śmiem Ci tego zdjęcia wysłać. Jest na nim tylko gęstwa liści, kawałek chodnika i jezdni i jeszcze jakieś amorficzne detale, Mój Boże... Bądź zdrow, Książę” (to ulubiony zwrot przyjaciela; z listu K. Kowalczyka, 2000).

Ulice tej dzielnicy miasta (tak zwanej Nowej Dzielnicy) układały się wobec siebie w siatkę linii równoległych i prostopadłych. Trudno zabiłdzić, ale to się zdarzyło i Kaziowi, i mnie.

Skąd brały się pomysły „wycieczek” ulicznych? Głównie z chęci dotarcia do jakiegoś punktu ważnego, do rodziny, znajomych z dawnych czasów, a przez dorosłych – do jakiegoś urzędu, najczęściej Arbeitsamtu w poszukiwaniu pracy. Czasem jednak chciało się dotrzeć i docierało do miejsc rozrywki, do cyrku, lunaparku, a nawet kina. Rodzinnych



Il. 8. Kościół św. Krzyża w Łodzi, pocztówka (ze zbiorów K. Wiśniaka)



Il. 9. Łódź. Apteka „po schodkach” na rogu ul. Przejazd i Wodnej. fot. Kazimierz Kowalczyk

spotkań nie było dużo i nie były one huczne, czasem jednak za ścianą jakiegoś mieszkania można było usłyszeć melodię. Ktoś próbował gry na organkach, ktoś inny uruchomił telefon, czasem słychać było dźwięki mandoliny. W rodzinach odwiedzano się z okazji świąt, ale najczęściej spotykano na pogrzebach. W kondukcie żałobnym trzeba było iść przez całe niemal miasto na cmentarze położone w odległych dzielnicach: na Zarzew, na Chojny, na Kurczaki.

Moja dalsza rodzina mieszkała w domu przy ulicy Nawrot, naprzeciw małego kościoła pod wezwaniem św.św. Piotra i Pawła (obecnie nieistniejący, wybudowano nowy tuż obok), i często kierowałam się w odwiedziny właśnie tam. Ale chodziłam też i do innej bliskiej krewnej cioci – Konstancji Szubigowej, i małego Jurka, mego kuzyna rówieśnika, wysiedlonych z własnego domu i wynajmujących skromny pokój w domu przy ulicy Fabrycznej. Dotarcie tam było prawdziwym wyczynem, a trudy wędrowania wynagradzał smak poczęstunku. Nie chciało się wracać. Gdyby można było dziś wstąpić w progi gościnnego domu Cioci Konstancji, która po wojnie zamieszkała nieopodal, przy ulicy Abramowskiego 28! Niestety, już nie można...

Na pytanie: „Skąd jesteś?”, Łódzianin odpowie: „Z miasta Łodzi”. Tak nie mówi się o Warszawie, Krakowie i wszystkich innych miastach. To dlatego, by ominąć „rafę” fonetyczną, zbitkę, skojarzenie ze słowem „złodziej”. Bawiąc się na podwórku, wiedzieliśmy skąd pochodzimy i jakie jest miejsce naszego „ogrodu miłości” w przestrzeni miasta. Oczywiście, nie wiedzieliśmy o tej przestrzeni zbyt wiele.

Cechą charakterystyczną Łodzi była wyrazista robotnicza podkultura, skrzyżowana z jakąś świeżą jeszcze wiejskością, z siermiężnym obyczajem (podkową „na szczęście” przy drzwiach, „pochwalonym” na powitanie, wiejską kuchnią). Zarówno sposób bytowania, jak i spędzania wolnego czasu zaprawiony był swoistym humorem. Można było usłyszeć prześmiewcze zawołania: „mądry jak salomonowe portki”, i określenia: „ciepłe kluski” – gdy ktoś był powolny, „czarne giry” – gdy miał brudne nogi, gdy okłamał – to „ocygańił”. Jeśli coś było z przedwojennych czasów, to zawsze w dobrym gatunku. Cnotę cierpliwości ćwiczyło, mówiąc: „Nie od razu Kraków zbudowano”, a gdy ukrojono nadmiernie cienką pajdę chleba, to po to, by „Można było przez nią zobaczyć Kraków”. Oglądałam nie raz Kraków, ustawiając przed oczami cieniutką kromkę czarnego chleba... Pochwałę pracy głoszone, określając: „Zrobił to w trymiga”, zbyt długie namyślanie się kwitowano wyrażeniem: „Dumał nie dumał,

cariom nie budiesz” (relikt z czasów zaboru rosyjskiego). Dzieci wracające z podwórka były „umorusane”.

W powietrzu latały przezwiska i podwórkowe epitety: „kikier” (gdy się miało zeza), „strzyga” (gdy nieprawidłowy zgryz), „podlec” (gdy dziecko nabroiło). Ale także można było usłyszeć słowa pogardliwe, jak: „stara prukwa”⁴, „heretyk”⁵, „rozpustnik”⁶, „nygus”⁷, „dezynteria”⁸. Straszono dzieci opowieściami o duchach, mówiono o chorobach i sposobach ich leczenia, o przygodach, z których mimo zagrożeń wychodziło się zdrowo i cało. Przebierano się w postaci diabła i śmierci. Śpiewano także sprośne piosenki: „O rany Julek i Mańka też, poszli do kina, gdy padał deszcz/I tak się całowali, aż krzesła połamali...”; albo o tym, jak „Titina była chora i poszła do doktora/A doktor był pijany, przycisnął ją do ściany...”; bądź reagowano strachem, gdy wędrownie śpiewaczki odwiedzające podwórko i klatki schodowe zawodziły żalosnym głosem długą przerażającą balladę o zbrodniarce Gorgonowej lub o końcu świata.

Każdy z nas nosi w sobie jakąś część wspomnień troskliwie przechowywanych, jak drogą pamiątkę. Taką pamiątką jest dla mnie wspomnienie podwórka i wszystkiego, co się wtedy i tam działo. Szczególnie ważne jest wspomnienie chłopca krzającego się wśród dzieci i zachęcającego je nie tylko do zabawy, ale i do całkiem poważnej nauki, która po wojnie ułatwiła start do szkoły i pomogła uformować trwale zainteresowanie sztuką w jej najróżnorodniejszych przejawach.



Il. 10. Zdjęcia dzieci: Kazika i Zosi, lato 1945 roku

Rodzina

Rodzina, będąc darem niebios, początkiem początku, powinna kojarzyć się dziecku przede wszystkim z czymś fundamentalnie bezpiecznym. Obiektywnie rzecz biorąc, dużo daje, ale też coś odbiera. Funduje prawa wynikające z natury, społecznego obyczaju, a także ze zwyczajnej pokusy dawania dziecku czegoś szczególnego, co się tylko jemu należy, bo każde dziecko w rodzinie jest na swój sposób wyjątkowe. Rodzina funduje mu warunki rozwoju, zabierając część zdobywanej nieraz w trudzie autonomii. Ale jeśli w rodzinie uda się uzyskać równowagę i umiar zarówno

⁴ Nieznośna baba, która wszystkim ma wszystko za złe.

⁵ Ten, który nie szanuje obyczaju.

⁶ Ten, który ma na boku jakąś kobietę, albo żyje na kocią łapę.

⁷ Ten, kto żyje na cudzy rachunek; leniwy, na utrzymaniu kobiety.

⁸ Znaczenie, marudna, nieżyczliwa kobieta, która wszystkim ma wszystko za złe.

w dawaniu, jak i odbieraniu, to traumatyczne zdarzenia są mniej prawdopodobne. Co nie znaczy, że zawsze panują idylla, ład, harmonia i spokój.

W rodzinie Kazia bywało różnie, chociaż był on pod wieloma względami dzieckiem wyjątkowym i wyróżnianym przez to choćby, że najmłodszym. Cała czwórka, jak pisze, na pewno urodziła się w tym samym mieszkaniu drewnianego domu przy ulicy Przejazd 72.

Adam i Franciszka z Wieczorków pobrali się prawdopodobnie tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, w 1914 roku. Po ślubie wynajęli mieszkanie w domu przy ulicy Przejazd 72, na pierwszym piętrze, z oknami wychodzącymi na ulicę.

Mieszkaliśmy przy ul. Przejazd 72, gdzie w jednym rzędzie stały cztery podobne „drewniaki” pochodzące z czasów zaboru rosyjskiego. Wokół miasta rozciągały się wtedy lasy, dlatego dużo budowano z drewna i niektóre ulice przypominały syberyjskie osady lub dekoracje do westernów. (...) Chyba dlatego, że dom był drewniany, szerniały i trochę krzywy, nazywano go „Arką”. Na noc okna parteru zamykano okiennicami. W soboty szorowano podłogi, schody i korytarze, a sień na dole, już czystą i umytą, posypywano żółtym piaskiem (Mały album: 17).



II. 11. Rodzeństwo
Wiśniaków: Irena, Jerzy,
Janina i Kazimierz Leszek

Córka Irena urodziła się w 1916 roku. Skromne, ale wystarczające początkowo mieszkanie powoli zapełniało się coraz to nowymi członkami rodziny. Kilka lat później przyszedł na świat syn Jerzy. Druga córka, Janina, urodziła się cztery lata później. W grudniu 1931 roku – syn, któremu nadano na chrzcie imiona Kazimierz Leszek. Z jakichś powodów w rodzinie używano imienia Leszek, i tak go nazywaliśmy na podwórku. Leskiem w rodzinie pozostał, o czym świadczą listy sióstr.

Ojciec był tkaczem w fabryce Scheiblera i Grohmana, a gdy nastąpił kryzys gospodarczy, pozostawał na zasiłku. Irena ukończyła kurs krawiecki u Marii Chmielowej i dorabiała szyciem. W domu była maszyna Singera. Matka zajmowała się gospodarstwem domowym, co w sytuacji coraz to powiększającej się rodziny było nie lada wyczynem. W wolnym od pracy i zajęć czasie ojciec zajmował się zbieractwem rzeczy może i niepotrzebnych, ale mających jakąś wartość tajemną, takich, które mogły się przydać w nieoczekiwanych okolicznościach. Ale znosił też bezcenne papierowe skarby, stare czasopisma, niekompletne foliały, atlasy – w tym anatomiczny – głównie niemieckie, drukowane gotycką czcionką, albumy z ilustracjami, czasem trafiał się wazonik pęknięty, ale wciąż mający jakąś wartość użytkową. Także jakieś książki. Było z czego wybierać, było dużo do oglądania. Oczy błyszczały, zapalony zachwytem, pochłonięte odkrywaniem tajemnicy piękna, które pomysłem i ludzką ręką zostały wykonane.

Oczarowanie to najistotniejszy rodzaj „zapłonu” duszy ludzkiej i początek kształtowania w niej pierwiastka kreatywnego. Okazało się ono prawdopodobnie czynnikiem decydującym o podjęciu studiów artystycznych i dalszej drodze Wiśniaka do mistrzostwa, ponieważ olśnienie to istotny moment genezy wszelkiego działania twórczego.

W rodzinie Kazia najważniejsze były sprawy związane z zapewnieniem bytu materialnego. Gdy nastąpił kryzys i ojciec był na zasiłku, rodzina zmuszona została do korzystania z pomocy społecznej.

W pewne dni matka chwytała wiadro i szła ze mną do Parku 3 Maja, gdzie w kuchni dla ubogich zjadaliśmy po talerzu mlecznej zupy. Zawsze była przypalona. Kucharki nalewały nam jeszcze zupę do wiaderka, dla rodziny, i wręczały bochen chleba, i tak zaopatrzeni wracaliśmy ulicą Przejazd do domu (Duży album: 68).

Te przemarsze wiązały się z poczuciem skrepowania, z wstydliwym faktem, że w domu bieda. Oto jedno ze źródeł traumy dzieciństwa. Ale było jeszcze jedno. Jurek, starszy brat, niechętnie reagował na próby przyłączenia się młodszego brata („smarkacza”) do „paczki” jego kolegów

(„koleżków”, jak ich Kazio nazywał), odtrącał go, nieraz-ko wyśmiewając się złośliwie z jego potknięć i nieszczęśliwych przypadków. Można przypuszczać, że źródłem przeżyć o traumatycznym charakterze była naprzód nieobecność ojca, mężczyzny, do którego można byłoby się przytulić i znaleźć w nim oparcie. Po powrocie z robót przymusowych u niemieckiej bauerki ojciec zmienił się, ujawniając swój dystans do żony i rodziny. Jego niewłaściwe zachowanie wobec matki raniło także Kazia. Podobnie było z bratem. Po ciężkich wojennych przeżyciach mężczyzna nie umiał się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Krótko mówiąc: naprzód nieobecność, a potem obecność bliskich osób w rodzinie Kazia rodziły rodzaj traumy (Duży album: 68).

Ale za to siostry... kochające i opiekuńcze. Zarówno Irena, jak i Janina. Bardzo różne osobowościowo. Irena rzeczowa, zwracająca uwagę na stroje i wygląd innych (krawcowa!), ale też dbająca o swój własny. Zainteresowana sztuką, kupująca obrazy w Desie i wdzięczna bratu za podarunki. I Janina, ciepła, o rozwiniętych uczuciach rodzinnych, ofiarna i nieźle władająca piórem. Obie zaangażowane w sprawy Kazia, interesowały się jego postępami w szkole, a potem podziwiały błyskotliwy rozwój jego kariery akademickiej i artystycznej. Kazik pomagał siostrą jak mógł, zwłaszcza w okresie stanu wojennego, lecz ich skromnych warunków życia nie potrafił odmienić. Ale one go kochały; zwłaszcza bliskie relacje

II. 12. List Janiny (Niech Ci grają wszystkie instrumenty...)

Gdyś kiedyś drogi, poprowadz
k Polskę, nie omijaj Łodzi!
Mnie, mas. teraz okazji
wyjazdu poza kraj - ale i tak
miałabym wiele -
do najbliższych tel. mojego
życie zaliczę fakt, że nie
miałabym z dnia siostry -
Tak tutaj zostanie -
Tym listem kończę pisanie
teporocznej korespondencji
siostrzanej - Zebrałam się
tego sporo ilość - jest trochę
propagacji - ma sukcesy -
Jasie raduje się me myśl
spędzenie w Krakowie
latem choćby kilka dni -
Ale o tym wkrótce!
Ciebie - Janina

Łódź 1985-04.02
Kochanie!
"Niech Ci grają wszystkie
instrumenty",
"Bo Cię bratr me zmięci",
z nieba przyjdzie
Niech tu oczom Twoim
po sercach Krótkich -
przyjdzie bresnere jakas
dobre, stółka kienes -
- Takie motto - (2 wersie iście
np Lidefonsa fateryniskiego,
który ob. darował mi ptocho-
zmodyfikowanie dru następ-
nych wierszy! -) następ-
Własnie takie - jestesmy Ci winne
ze bogaty dar maderstany
i pastac - rozstep

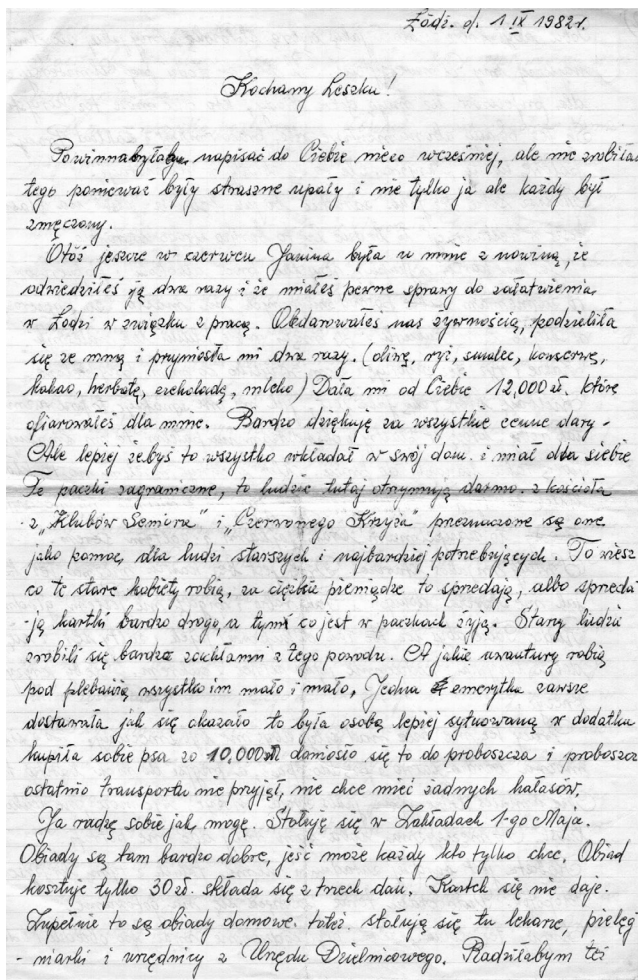
utrzymywał z Janką. Pisała: „Bądź zdrow, szczęśliwy, zadowolony, radosny, pewny i mocny” – Janka. Albo: „Skarbie – pilnie wyglądam wieści dotyczących Twojej Kochanej Osoby, wszędzie, gdzie się da, dzielę się nowinami o Tobie i od Ciebie” (1976 r.).

A w archiwum odnalazłam odzew: „Kochana moja siostra, jak zawsze pełna troski, bliska w myślach, radach, pogodzona z trudnościami, ale pełna optymizmu” – komentarz na kopercie z listami siostry Janiny (Archiwalia, Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego, napis na kopercie, w której są listy Siostry Janiny).

Drugą osobą (pierwszą był brat Jerzyk, „zwinięty” przez Niemców na ulicy w 1940 roku – przyp. Z.R.), która nas opuściła na czas okupacji, był ojciec. Pisał listy gdzieś spod Düsseldorfu... Wywiezione zostały też obie moje siostry. Kopały linie rowów strzeleckich dla wycofującego się wojska niemieckiego gdzieś pod Płockiem i w okolicy Turka. W domu z chorą matką zostałam tylko ja, bo byłam smarkacz (Duży album: 32).

W rodzinie ważną, choć nieco egzotyczną postacią był wuj Feliks. Wyjechał po zakończeniu pierwszej wojny za pracę do Francji. Tęsknił za rodziną i nie żałował grosza na korespondencję. Z treści pocztówek wynika, że chciał być trochę mentorem, trochę dobrodziejem dla rodziny brata, ale bardziej zaskarbił sobie przyjaźń u bratowej Franciszki. „Kochana Franiu...” – to był jego ulubiony i częsty zwrot.

Wuj Feliks, nieobecny wprawdzie, ale ciągle przypominający o sobie, swojej pracy w dalekiej Francji i swojej tęsknocie za rodziną. Postać tajemnicza, a jeszcze bardziej tajemnicze jego zajęcie (malowanie wieży od dołu) były dla



II. 13. List Ireny (Kochany Leszku...)

Kazia źródłem upajających wyobrażeń o tym, co widział wuj, osiągając szczyt wieży, i rodziło się pytanie: dlaczego maluje on wieżę od dołu, a nie od góry? Takie właśnie techniczne zagadki będą często towarzyszyły mu w pracy przyszłego scenografa. Wieża Eiffla była dla chłopca symbolem niebotycznej sztuki.

Opowiadanie o tym jak wieżę malował wuj Feliks, przypomniało mi o zawrót głowy, ale rozbudziło wyobrażenie wielkich przestrzeni, dalekich krajów, nieznanymi miast. Wyobrażałem sobie wieżę sięgającą nieba i wujka, którego trzymam mocno za rękę, kiedy stoimy na jej szczycie jeden obok drugiego, bardzo blisko, bo tak mało jest tam miejsca (Duży album: 7).

Bytowanie w nader skromnych warunkach materialnych i powściągliwość bliskich osób w wyrażaniu uczuć być może doskwierały chłopcu, ale niewykluczone, że sprzyjały marzeniom o innym stylu życia i pobudzały jego wyobraźnię. A pod ręką były książki zbierane i znoszone przez ojca. Najmłodszy syn państwa Wiśniaków zagłębiał się w lekturze: to Ambrożego Grabowskiego legendarnej już książki *Opis miasta Krakowa i jego okolic*, to czasopism z ilustracjami Bocklina; studiował też atlasy anatomiczne, a pisze o tym tak:

Bez końca oglądałem ciężkie tomy starych ilustrowanych czasopism starannie przechowywanych w domu. Czytałem już wówczas całkiem dobrze, ale niewiele jeszcze rozumiałem z treści artykułów. (...) Wyobrażenia malarskie Bocklina przerażała mnie, ale z przyjemnością oglądałem reprodukcje obrazów Moritza von Schwinda. Wydawało mi się, że to ilustracje do bajek, których jeszcze nie znałem. Niedostępne zamki, krajobrazy pełne tajemniczych gąszczów, samotni rycerze na koniach. Mężczyzna zakuty w zbroję był dla mnie nadczłowiekiem. Interesowały mnie też zagadkowe fotografie i rysunki, zwłaszcza te, przy których nasuwały się dręczące pytania, na które nikt z domowników nie potrafił udzielić mi odpowiedzi. Niemiecka książka medyczna odsłoniła przede mną tajemnice człowieka. Były w niej kolorowe figury mężczyzny i kobiety posklejane z fragmentów anatomicznych. Mogłem je rozkładać i składać. Płuca otwierały się jak okiennice, ukazując wiszące na aorcie serce, a ono z kolei uchylone ukazywało swoje wnętrze, podzielone na komory. W figurce kobiety odkryłem w brzuchu śpiące dziecko (Duży album: 28).

Jest jeszcze jedno ważne wspomnienie Kazimierza Wiśniaka z okresu dzieciństwa, związane z postacią ojca. Wspomnienie zdarzenia o konstytutywnej roli w jego późniejszym

życiu, zarówno jako człowieka, jak i artysty. Dotyczy doznania kontrastu. Odtąd kontrast będzie odgrywał rolę jako zasada jego sztuki i jako oś konstrukcyjna osobowości twórczej Kazimierza Wiśniaka.

Kiedy myślę o dzieciństwie, nawiedzającym mnie często obrazem jest „droga przez tunel”. Drewniana „Arka”, w której mieszkaliśmy, była szara, podobnie jak murowane czynszówki obok. Cała dzielnica ujednolicona została szaryzną, co było zasługą pary z pobliskiej elektrowni. Ona to skutecznie łączyła wszystkie fabryczne dymy i zapachy koksu, rdzy i smarów. Z frontowych okien przez kilkanaście lat oglądałem zbiorniki gazowni miejskiej, od strony brukowanego podwórka mury fabryki, a za nimi niezbyt odległe składy kolejowe i tory. Niedaleko jednak znajdowało się miejsce wskazane przez ojca. Było to przejście pod nasypem kolejowym na ulicy Wysokiej. Bardzo długie, czarne i wilgotne. Ojciec nazywał to przejście tunelem. Od jasnego punktu świecącego w głębi mrocznego lochu ciągnął chłód. Ojciec wchodził zawsze pierwszy do tunelu. Musiał się bardzo przy tym pochylić, bo sklepienie było niskie. Idąc za nim, czułem dreszcze na plecach, lecz nie z powodu zimna. Długa droga przez tunel była dla mnie jakby wtajemniczeniem. Idąc tak krok w krok, jeden za drugim, wychodziliśmy wreszcie na rozległe łąki, pełne motyli i kwiatów. W trawach lśniła woda tak samo błękitna jak niebo, w powietrzu unosiło się brzęczenie pszczoł i much. Po szarej codzienności nagle tyle kolorów! Ojciec – czarodziej. To on pierwszy pokazał mi piękno pejzażu i ukryte w nim ruchliwe życie owadów, żab i ryb (Mały album: 25–26).

Czy nie stąd się wzięło zamiłowanie Wiśniaka do czystych kolorów, chęć, by na scenę projektowanej dekoracji wpuszczać więcej światła i więcej barwnych postaci, czy nie stąd się wziął dominujący i podziwiany w jego obrazach „kolorowy świat” (jak w filmie biograficznym „Kolorowy świat Kazimierza Wiśniaka”, reż. W. Majewski), czy nie stąd wreszcie zamiłowanie do plenerowych spotkań z naturą oraz troska o piękno lancorońskiego zakątka, w którym zbudował swój letni dom, zwany „Wieżą”.

Lektura autobiograficznych zapisów Kazimierza Wiśniaka pozwala nabrać przekonania, że rodzina była ważna



Il. 14. Ojciec Kazimierza Wiśniaka w rysunku wnuka, Jerzego Wiśniaka (brat Kazimierza, Jerzy, miał syna, również Jerzego), lata 60. XX wieku

w konstruowaniu jego artystycznych działań. Każdy z jej członków wniósł swoją część do świata wyobraźni przyszłego artysty. Z postacią matki wiąże się pierwsze olśnienie i zachwyt nad efektami świetlnymi w szafie. Z postacią ojca – olśnienie naturą, z siostrami – troska o jego edukację i przykład życia uczciwego w skromnych warunkach.

Matka – to główna postać dzieciństwa Kazimierza Wiśniaka, zwłaszcza w czasach okupacyjnych, gdy w opustoszałym domu oboje musieli sobie radzić z problemami codzienności. Ale wcześniej z obrazem matki wiąże się może najważniejszy fakt, mający znaczenie dla jego późniejszej działalności w teatrze w roli scenografa.

Największego olśnienia doznałem, mając lat pięć. Bawiłem się właśnie w szafie, gdy nagle na tylnej ścianie, tuż nad głową, zobaczyłem swoją matkę siedzącą przy stole, odwróconą do góry nogami. Słyszałem już wówczas o cudach i kojarzyłem to zjawisko z wizerunkami świętych, ponad którymi w świetlistych obłokach ukazują się aniołowie. Straciłem poczucie rzeczywistości wpatrzony w to zjawisko i dopiero matka, gwałtownie otwierając szafę, aby sprawdzić, co się ze mną dzieje, przerwała moją ekstazę. To, co zobaczyłem, to był efekt „camera obscura”, wywołany promieniem słońca, który wtargnął do szafy przez dziurkę od klucza (Mały album: 31).

Szafa stanie się istotnym rekwizytem w wielu realizacjach scenograficznych Wiśniaka.

Z postacią ojca wiąże się pierwsze doznanie bajkowego pejzażu w kontraście do szarzyzny fabrycznej dzielnicy miasta; od siostr przejął Kazimierz Wiśniak – a jakże – miłość do rysunku i precyzję kreski oraz staranność w nakładaniu barwy. Od siostry Ireny – uważność dotyczącą kobiecych ubiorów. Z bratem było najtrudniej: przed wojną zabierał go do kina „Rakieta” na Wodnym Rynku, ale odganiał od grupy starszych chłopców. Po powrocie z obozu koncentracyjnego nie umiał się odnaleźć, a trauma czasów wojny nie pomagała w ułożeniu sobie życia zgodnie z oczekiwaniami rodziny.

Po wujku Feliksie Kazimierz Wiśniak odziedziczył tęsknotę za dalekim światem i pragnienie wzbicia się na szczyt. W docieraniu do sedna jego talentów, a zwłaszcza genezy jego późniejszych fascynacji i osiągnięć artystycznych, niezwykle ważny jest fakt zetknięcia się z przyniesioną przez ojca książką Ambrożego Grabowskiego *Opis miasta Krakowa i jego okolic*. Pobudzenie wyobraźni chłopca i jej ukierunkowanie to zasługa tego właśnie dzieła o historycznym już znaczeniu. Późniejsza decyzja Wiśniaka o wyboże Krakowa jako miasta swojej artystycznej edukacji była konsekwencją spotkania z tą właśnie książką.

Szkoła

Kto po wojnie by nie chciał pójść do szkoły! Wreszcie prawdziwej. Chciało się tam latać, jakby ktoś zafundował nam skrzydła. Zapanowała jakaś radosna powaga, wszystko inne stało się mniej ważne. Ruszyła potężna fala dzieci i młodzieży pozbawionej przez pięć lat dostępu do edukacji szkolnej. Widowiskowa, gdyż niesiono kosze pełne książek powyciąganych z ukrycia i teraz przeznaczonych do nauki szkolnej. Poszliśmy obydwójce do różnych klas Szkoły Podstawowej nr 32 przy ulicy Zagajnikowej. Była to ta sama szkoła, do której Kazio chodził przed wybuchem wojny (duży gmach o trzech bramach mieścił trzy szkoły: nr 32, 33 i 34).

Kazio poszedł do klasy piątej (ale i tak „opóźniony”, powinien być w siódmej), mnie natomiast skierowano, dzięki jego podwórkowemu nauczaniu, od razu do klasy drugiej. Kochane lata szkolne, takie niezwykle, tak bardzo motywujące do nauki. Chciało się chodzić do szkoły, nawet jeśli daleko. Podwórka opustoszały. Nawet latem. Właśnie wtedy zaczęto organizować kolonie letnie i obozy harcerskie.

Kierownikiem szkoły był Karol Kahl, a panią od polskiego jego żona. „»Królestwo Kahl« – tak nazywaliśmy szkołę” (Duży album: 7), pisze Wiśniak w swoim autobiograficznym albumie. Potwierdza fakt, że w starszych klasach byli uczniowie o dużej rozpiętości wiekowej i różnym doświadczeniu z czasów okupacji. Dorosłość mieszała się z mentalnością niedawnych dzieci. Ważni byli nauczyciele. Zaangażowani, z poczuciem misji wychowawczej i często wybitni. Takimi byli zapewne nauczyciele w klasie Kazia.

Szkołę powszechną Kazimierz Wiśniak ukończył w 1948 roku. W tym czasie działał w drużynie harcerskiej i z nią dwukrotnie wyjeżdżał na obozy: nad Wisłę koło Tarnobrzega i nad Pilicę koło Spały. Z tego ostatniego obozu zachował się list do nieobecnego druha Kazia Kowalczyka („Kowala”). List świadczy o niezłym poziomie umiejętności pisania listów, dobrym, lekko stylizowanym językiem, z humorem i satyrycznym zacięciem.



Il. 15. Budynek Szkół Podstawowych przy ulicy Zagajnikowej



Il. 16. Kazimierz Wiśniak jako harcerz, Łódź ok. 1947 roku

Wielce sercom naszym miły i wielbiony Kazimierzu,
Gorzko płyną chwile naszej rozłąki, lecz miejmy nadzieję,
że oczy nasze rychło zostaną ucieszone Twoim widokiem...
(list w prywatnym archiwum Kazimierza Wiśniaka).

Ale zaraz pojawia się bardzo konkretna informacja o tym,
jak czekając na spóźniający się pociąg ze stacji Łódź-Chojny,

(...) napawa oczy widokiem urządzeń kolejowych (lokomoty-
wa, węglarka, zawiadowca stacji, dróżnicy, gwizdek parowy
na lokomotywie), a serce nadzieją rychłego przyjazdu po-
ciagu (list w prywatnym archiwum Kazimierza Wiśniaka).

Jaka precyzja! Ona też okazała się trwałą cechą przy-
szłego artysty.

(...) Wieczorem trafiła się nam miła gratka – poszliśmy do
obozu harcerek, aby pomóc im w rozbijaniu namiotów. Rozbi-
jaliśmy namioty, jednak tylko w teorii – w praktyce poświęci-
liśmy 5 godzin (!!!) czasu na miłe flirty. Gdy o godzinie 11.30
(w nocy – przyp. Z.R.) wróciliśmy do obozu i spoczęliśmy
na siennikach, namiot począł rozbrzmiewać niesamowitymi
rykami i wrzaskami oraz dygotać od salw srebrzystego śmie-
chu (w stwarzaniu tego arcy-wesołego nastroju rej wodzili:
Wolniewicz, Szewczyk, Bereziński – na słabsze dowcipy silił
się Kallenbrunn, lecz nie mu nie wychodziło i został przez
ogół wyśmiany) (list w prywatnym archiwum Kazimierza
Wiśniaka).

Nieźle wakacje mieli ci druhowie, do pozazdrosczenia.
Przytoczyłam duży fragment listu, ponieważ ma on cechy,
które dalej będzie w swoim sposobie obcowania i relacjono-
wania stosował Kazimierz Wiśniak. Ujawni się to szczególnie
w tekstach pisanych dla Piwnicy pod Baranami.

W tym okresie duże znaczenie miały przyjaźnie i relacje
z rówieśnikami.

Zaprzyjaźniłem się z Luckiem Berezińskim, zwanym Gory-
lem, a przede wszystkim ze Stasiem Wyszowskim i Kaziem
Kowalczykiem. Razem namiętnie czytaliśmy „Przekrój”,
bo drukowano w nim „Teatrzyk Zielona Gęś” i „Listy z fioł-
kiem”. Gałczyński był dla nas najwspanialszym poetą i jego
wiersze znaleźliśmy na pamięć. *Zaczarowana dorożka* działa-
ła magicznie i w kółko ją deklamowaliśmy jak maniacy. Przy-
bliżała Kraków moich marzeń, jakże inny od tego z książki
Ambrożego Grabowskiego (list w prywatnym archiwum
Kazimierza Wiśniaka).

O nich świadczy bogata korespondencja i wspomnienia Wiśniaka z tamtych czasów:

(...) Kazik Kowalczyk pisał wiersze, ja też oczywiście próbowałem, ale moje loty były raczej niskie. Pewnego razu pokazał mi książkę, którą właśnie kupił. Była to *Antologia współczesnej poezji francuskiej*, opracowana przez Adama Ważyka. Od tych wierszy nie mogłem się oderwać. Też chciałem je mieć. Od sióstr wybłagałem pieniądze, pobiegłem na Piotrkowską do Czytelnika i kupiłem tę książkę. Podobnie jak Kazik nie rozstawałem się z nią potem aż do czasu, kiedy ulubione wiersze utrwaliła pamięć. Rimbaud, Apollinaire, Cocteau... Ale Gałczyński był nam najbliższy (Duży album: 34).

Kiedy się twoja głowa w falę snu zanurza
I waha się i ślania,
Czy się lękasz bym z tobą nie odbył podróży,
W Twoją krainę spania?

J. Cocteau, *Kiedy się twoja głowa*,
tłum. J. Iwaszkiewicz

Gdy pomyślę, że te wyrafinowane wiersze czytali namiętnie uczniowie szkoły podstawowej, koledzy z „boiska” szkolnego, Kazik Wiśniak, Kazik Kowalczyk i Mirosław Szware (tzw. tercet rowerowy), oraz dodatkowo Lucek Bereziński („Goryl”), doznaję podziwu idącego w parze z zazdrością. Poezję francuską w przekładzie Ważyka udało mi się zdobyć wiele lat później, już na studiach. Początkowo w grupie był jeszcze Staś Wyszkowski (jak się potem okazało, także pełen twórczego zapału, o duszy artysty), który wkrótce opuścił kraj, by osiąść u rodziny w dalekiej Kanadzie. Długo jeszcze był wiernym korespondentem Kazia Wiśniaka.

Po otrzymaniu pocztówki z Brukseli bez adresu nadawcy, ale ze wspomnieniem pejzażu z wiersza Gałczyńskiego, Wiśniak bezbłędnie odgadł, kto jest jej nadawcą.

Czytałem pełen wzruszenia, bo przeniósł mnie we wspomnieniach do powojennej Łodzi, do moich kolegów ze szkoły na Zagajnikowej (Duży album: 34–35).

O szkole powszechnej przy ulicy Zagajnikowej Kazio Kowalczyk tak napisał:

Jakże chciałbym pójść z Tobą na jej strych. („Poezja starych piwnic, zepsutych zegarów, strychów i niemych skrzypiec pękniętych, bez grajka...”). Podczas wojny w budynku tym

stacjonował oddział SS. Niemcy bardzo zdewastowali wnętrze, zwłaszcza ową salę, która służyła im jako magazyn broni. A nad salą gimnastyczną, tam, gdzie owalne okno – wyświetlano od czasu do czasu filmy. Przyjeżdżał operator, spędzano kilka klas, siedzieliśmy na podłodze pod spadzistym dachem i zaczynało się misterium kinematograficzne. Przeważnie filmy przyrodnicze, krajoznawcze i kolorowe kreskówki (chyba już rosyjskie, a może coś z Disneya) (list w prywatnym archiwum Kazimierza Wiśniaka).

Staś Wyszkowski po upływie ponad półwiecza pisał:

Teatr jak zawsze był, tak i jest w Twojej krwi. Sam jesteś mimem – aktorem, a Twoje obrazy to inscenizacje dramatów z natury. Tylko teraz (gdy malujesz) jesteś sam scenografem i reżyserem i wykonawcą, masz całe przedstawienie w swojej ręce i o kogo innego nie potrzebujesz się już troszczyć (list w prywatnym archiwum Kazimierza Wiśniaka).

To bardzo trafna uwaga, i to spostrzeżenie, że: „teatr miał zawsze we krwi”.

Szkółę podstawową z całą jej niezwykłą atmosferą Kazimierz Wiśniak zostawił za sobą w roku 1948, mając siedemnaście lat. Pojawiło się naturalne pytanie: „Co dalej?”.

Wybór przyszłego zawodu był ściśle powiązany z wyborem szkoły. Siostra Irena walnie w tym dopomogła, osobiście przedstawiając nieśmiałego kandydata dyrektorowi ówczesnego Liceum Budowlanego (przemianowane dwa lata później na Technikum Budowlane). Dzięki tej prezentacji kandydat stał się uczniem.

Tadeusz Pabin, kolega licealny Wiśniaka, tak opisał lata szkolne:

Najbardziej gnębiono nas rysunkami w budownictwie. Wykładowca był wymagający, nie wystarczało narysować tuszem przekroju budynku ze stropami i więźbą dachową, ale wszystko należało pomalować na odpowiednie kolory. Cegły na czerwono, beton na fioletowo, a drewno żółtym kolorem, przy czym trzeba było odpowiednio cieniować, aby uwidocznić odpowiednio płaszczyzny (Pabin 2014: 142).

Il. 17. Świadectwo ukończenia szkoły powszechnej w 1948 roku

ŚWIADECTWO SZKOŁY Powszechnej
Kazimierz Wiśniak
 (data urodzenia i imię)
 urodzony dnia 11 grudnia 1931 r. w Łodzi
 gminy Łódź, powiatu Łódź, uczęszczał do klasy 4
 i otrzymał za pierwsze półrocze roku szkolnego 1947/48. oceny następujące:
 sprawowanie *bardzo dobry* matematyka *dobry*
 religia *bardzo dobry* fizyka *dobry*
 język polski *dobry* rysunek *bardzo dobry*
 język obcy *dobry* prace ręczne *dobry*
 historia *dobry* śpiew *dobry*
 geografia *dobry* wychowanie fizyczne *dobry*
 literatura *dobry* literatura polska *dobry*
 Opisał dni szkolnych 1, w tym nie usprawiedliwiono 0
 Publiczna Szkoła Powszechna 32
 im. *Łódź*
 Nr 39 dnia 31.12.1948
 Łódź
 Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.
 P. 2
 PZWS Nr 127 / 15

Pabin wiernie i z literacką swadą opisuje naukę szkolną i atmosferę tamtych lat. Przymus aktywnego uczestnictwa w pochodach, stosowanie ściąg i podpowiadania, nawet przez nauczycieli, by ochronić uczniów przed represjami. Kolega Wiśniak pozostał w jego pamięci jako ten, który w trudnych momentach niesie pomoc. Opisuając kolegów z klasy, Pabin stwierdza, że:

Kazio, pięknie rysujący i piszący wiersze... gdy szedł do tablicy na matematyce było widać, że choć wiedza go nie wypełniała, potrafił wybrnąć z każdej sytuacji dzięki wrodzonej inteligencji. Kazio poszedł po ukończeniu technikum do Akademii Sztuk Pięknych i był aktywnym uczestnikiem wydarzeń w Piwnicy pod Baranami. Był to niesłychanie skromny i wrażliwy chłopak (Pabin 2014: 132).

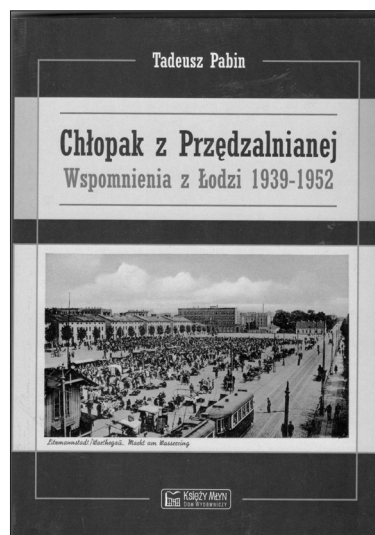
Uczniowie tej szkoły mieli szczęście do nauczycieli języka polskiego. To ważny przedmiot, podstawa zdobywania ogólnej kultury, nie tylko ściśle humanistycznej. Umiejętność rozumienia, rozumowania i wyrażania swoich myśli to podstawa dalszego funkcjonowania człowieka w środowiskach społecznych, wskaźnik obycia i tak zwanego wyrobienia w przyszłych relacjach międzyludzkich. A przecież miało ich być dużo.

W Technikum Budowlanym polskiego uczyły Anna Pogonowska (poetka) i Zofia Palewska, których lekcje bardzo sobie chwalili uczniowie. Jakże piękną ocenę po latach wystawił Kazimierz Wiśniak swojemu nauczycielowi rysunków. Dawny nauczyciel i wychowawca tej szkoły po wielu latach (w 2002 roku) dziękował swemu uczniowi za list, wzruszającą dedykację i książkę.

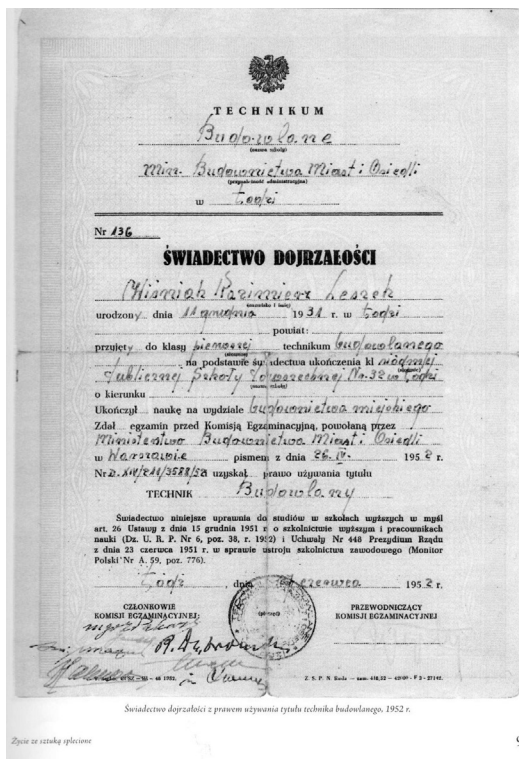
W dzisiejszych zmaterializowanych czasach trudno jest spotkać prawdziwego człowieka. Za takiego ja Pana uważam. Przy okazji podaję listę nauczycieli w tamtych czasach prowadzących poszczególne przedmioty (list w prywatnym archiwum Kazimierza Wiśniaka).

O swojej szkole Kazimierz Wiśniak napisał:

Profesorowie liceum przy ul. Zielonej byli mistrzami w przekazywaniu wiedzy budowlanej i takie przedmioty jak żelazo-beton, konstrukcje stalowe, statyka czy miernictwo przyswajaliśmy sobie bez wysiłku. Nie było podręczników.



Il. 18. Okładka autobiograficznej książki Tadeusza Pabina



II. 19. Świadectwo
dojrzałości Kazimierza
Wiśniaka

II. 20. Kazimierz
Wiśniak maturzysta,
Łódź 1952



Fenomen czarodziejstwa

Zanim Kazimierz Wiśniak został uznany za czarodzieja, był zwykłym chłopcem, jak wielu innych. Właśnie: czy na pewno zwykłym? Przecież on już w tych czasach wszystko prawie umiał: pisać, czytać i rysować, robić na drutach, szydełkować i obrazki malować. Także bajki opowiadać, gry organizować. Tak jakby wiedzę tajemną zdobywał nie tylko z powietrza, także z domu, z książek, których pewnie miał dużo, albo od odrabiających lekcje starszych sióstr; może także oglądając żurnale krawieckie siostry Ireny, może z opowieści matki o dawnych dobrych czasach za cara, gdy

Wykłady z historii architektury profesor ilustrował rysowanymi na tablicy widokami egipskich świątyń i katedr. Był prawdziwym artystą, po każdym jego wykładzie z żalem ścieraliśmy te piękne, kredą wykonane rysunki, aby czystą tablicę przekazać następnemu wykładowcy (Mały album: 37).

Jest jeszcze jeden ważny zapis dotyczący szkoły, o istotnym znaczeniu dla dalszego rozwoju sztuki Wiśniaka:

Geometria wykreślna pobudziła moją wyobraźnię. Na podstawie rzuconych na papier linii i punktów z łatwością budowałem formy w przestrzeni. Nauczono mnie wykreślać perspektywę. Do tych zadań potrzebne były linia i ostrzony często ołówek. Perspektywiczne rysunki pokrywaliśmy akwarelą. To było trudne, bo kolory, oddalając się ku horyzontowi, musiały wytracać swoją intensywność, a wszystkie biele przygasać. Światło i cień, światło padające, światło odbite, cień własny i cień rzucony – one dopiero stwarzały wrażenie przestrzenności. Lekcje rysunku mógłbym mieć codziennie, tak je lubiłem! (Mały album: 37).

bywała z mężem na zabawach, w teatrzykach ogródkowych i restauracjach pod gołym niebem?

Czarodziejstwo naszego kolegi było obecne w jego najróżniejszych rodzajach aktywności. Wystarczyło, by się pojawił, a już coś zaczynało się dziać, co wabiło dzieci i budziło ich zachwyt. Kazio, jako postać główna w podwórkowej hierarchii dziecięcego stada, jawił się przede wszystkim jako ten, który umie rysować. Nie tak zwyczajnie coś narysować. Dzieci wiedziały, że on potrafi narysować wszystko. O cokolwiek prosiły – wnet pojawiał się na kartce papieru, i to w jakiej postaci! W roli artysty, rysownika, kryła się więc jego tajemnica czarodziejskiego wpływu, tam była ulokowana jego magia. Umiał pobudzać wyobraźnię dzieci i dostarczać im wrażeń, które upajały. W czasach współczesnych powiedziano by: to prawdziwy guru.

Wreszcie ostatni aspekt czarodziejskiej aury, która otaczała osobę Kazia: powtarzanie bez nudnej rutyny. To nie była mantra, a rękojmia i dobra wróżba zapewniające nagrodę. Paradoksalnie zatem: niepowtarzalność w powtarzalności. Wracało się z podwórka z jakimś trofeum, coś się nowego wiedziało, umiało, posiadało. W domu można było się pochwalić, powtórzyć zabawę. I... czekać na nowe spotkania z Kaziem na podwórku. W każdym takim wydarzeniu był obecny moment iluminacji z jednoczesnym pragnieniem dawania z siebie czegoś własnego, udzielania się, tworzenia postawy: „Jestem z wami”. Rodziło się uczucie, że jesteście razem, że jest tak ciekawie i że będzie można powtarzać to za każdym razem inaczej. To właśnie nazywam wielką fundą czasów dzieciństwa. Można więc ten fragment opowieści uzupełnić wierszykiem:

Mam kolegę Czarodzieja, z łódzkiego podwórka,
Wszystko umie narysować,
Z włóczki zrobi szalik, figurę ze sznurka,
Niebo–piekło? Tak – od ręki,
Szpagat na dokładkę.
I aniołka co prowadzi dzieciątko przez kładkę.

wierszyk Autorki

Było więc nasze podwórko miejscem spotkania, wymiany i spontanicznego konstruowania wspólnej przestrzeni. Z ciasnych izb drewnianych domów o ubogim wyposażeniu wychodziło się na świeże powietrze, by zaznać przyjemności zabawy. Z takiego oswojonego miejsca łatwiej było wyruszać dalej, ulicami, we wszystkich kierunkach, do nowych miejsc

po nowe wrażenia. Wylaniały się obietnica przygody, pojęcie drogi i celu, i... rozkosz powrotu.

Lata powojenne nasyczone były niezwykłą ilością zupełnie nowych zdarzeń. Fala powrotów mężczyzn z miejsc przymusowego odesobnienia, obozów i zesłań, robót przymusowych – to źródło niezwykłych opowieści o przygodach prawdziwych, a nie wymyślonych. Pójście do szkół to wielka dla dzieci nowość, a nawet przygoda. Nowe okoliczności zmieniały organizację życia rodzinnego, a one z kolei – zmieniły rolę podwórka. Nie tracąc swoich funkcji podstawowych, przestało być miejscem zabawy, straciło swoje dotychczasowy powab dla dzieci, niekiedy zbliżających się już do dorosłości. Jego magnes przestał działać. Tworzyły się nowe kręgi koleżeńskie, poza rodzinnym domem, życie toczyło się na wielu polach i w coraz szybszym tempie. Stawaliśmy się coraz bardziej osobni. Prawie zapomnieliśmy o sobie. Ale, jak się okazało, nie do końca.

Mówiąc o fenomenie czarodziejstwa, jako zjawisku mającym znaczenie w późniejszej karierze artystycznej Wiśniaka, warto z uwagą pochylić się nad jego wspomnieniami z okresu dzieciństwa, które nie miały związku z podwórkową dzieciarnią. Jego dzieciństwo od wczesnych lat było nasyczone pierwiastkami teatralności. Ulice odchodzące od Piotrkowskiej

(...) często były odwiedzane przez drobne trupy cyrkowo-teatralne, wędrownych artystów. Pamiętam na podwórku pajaca z małpą, siłacza w trykocie, i bladą panią ubraną w szlafrok. Rozwijali dywanik i przedstawiali na nim coś w rodzaju pantomimy, potem kobieta zrzucała szlafrok i wyginając ciało obciągnięte czarnym trykotem, wchodziła do stojącej obok skrzyni, a złośliwy pajac zatrząskiwał nad nią wieko. Siłacz wyciągał szpady i przebijał nimi skrzynię ze wszystkich stron na wylot. Już sam moment kiedy kobieta kureczyła się i zwijała ciało, by pomieścić się we wnętrzu małego sześcianu, sprawiał mi ból, a wyimaginowana krew, po brzegi wypełniająca skrzynię, doprowadziła niemal do stanu omdlenia. W końcu pajac odkrywał wieko i oczywiście kobieta wychodziła z wnętrza żywa i cała wśród oklasków zebranej publiczności. Kostiumy tych komedianów były mocno sfatygowane i naddarte, ale ze śladami dawnej świetności (Mały album: 20).

Tego rodzaju wydarzenia zapewne głęboko zapadały w pamięć i wyobraźnię przyszłego scenografa, miały znaczenie dla jego przyszłej pracy w teatrze pantomimy. A przecież jeszcze na podwórku odbywały się pokazy cyrkowe:

Pamiętam taki jeden pokaz dlatego, że z gromady dzieci właśnie ja zostałem wtedy wybrańcem sztuki. Matka wyniosła mi z mieszkania krzesło, abym mógł obejrzeć przedstawienie z wygodami. Niedługo trwało to moje siedzenie, bo jeden z akrobatów uniósł mnie razem z siedziskiem bardzo wysoko, jedną nogę krzesła ustawił sobie na czole i tak balansował. Przerażony, trzymałem się kurczowo krzeselka, gdy on ze mną nad głową chodził po podwórku. Matka, widząc to wszystko, krzyczała, przeciskając się przez tłumek oglądających te pokazy sąsiadów (Mały album: 20).

W czasach okupacji nie było żadnych pokazów artystycznych na podwórku, ale jeszcze przed wojną starsze dzieci, wśród których był Kazio Wiśniak, pamiętały, jak uczestniczyły również w zabawach w teatr organizowanych przez dorosłych. Oto jedno z takich wspomnień:

Kiedy miałem może 5 lat, moje starsze siostry Irena i Jania wraz z koleżankami przygotowały na naszym podwórku „prawdziwe” przedstawienie. Ustawiły widownię z krzeseł i stołków, a kurtynę zrobiły z kap na łóżka. Przyszli sąsiedzi, dużo dzieci, ja zasiadłem dumnie w pierwszym rzędzie. Nie pamiętam, o czym było to przedstawienie, ale na pewno o jakiejś nieszczęśliwej królewnie, bo Reli Preisentanz, potrząsając dumnie czarnymi lokami, śpiewała: „Wyszła Alfreda z zamku swojego, na ślubny wieniec nazbierać róż...” (Mały album: 25).

To także musiało zostawić wspomnienia, bo w czasach okupacji Kazik z Mietkiem Wasiakiem postanowił robić teatr własny. Mietek przyniósł papierowe figurki a Kazik pudełko po butach.

Było dobre, sztywne, można było w nim wykleić dekoracje i ustawić postacie. Najpiękniej nasza scena wyglądała pod zawieszoną lampą. Należało tylko z góry i z boków wyciąć dziurki, aby przepuszczały światło, i przysłonić je kolorowym celofanem. Natomiast barwne światła prawdziwych reflektorów podziwiałem w teatrze u księży Salezjanów przy ul. Wodnej, gdzie chodziliśmy całą rodziną na bożonarodzeniowe przedstawienia (Mały album: 25).

Kazimierz Wiśniak był przeniknięty teatralnością od najmłodszych lat. Występ jednej z takich trup cyrkowych miał szczęście oglądać właśnie na podwórku. Już wówczas jako mały odbiorca zetknął się ze sztuczością sztuki, mistrzostwem wywoływania przeżyć przez innych. Będąc pod wrażeniem, chciał wiedzieć, skąd się biorą mrozące

krew w żyłach złudzenia. Problem iluzji w teatrze będzie zaprzętał jego wyobraźnię w procesie tworzenia koncepcji scenograficznych w późniejszych latach.

Baśniowość, którą we wszystkich dziedzinach działalności Kazimierza Wiśniaka zauważają krytycy i recenzenci, była już obecna w czasach dzieciństwa, choć najtrudniej ją wysledzić. W czasach okupacyjnej nocy? Może na przekór wszystkiemu ujawniała się ona we wspomnieniach, miła słodycz wspomnień dorosłych, jak to było przed wybuchem wojny, i w marzeniach, co będzie jak się skończy wojna, towarzyszyła nam w chwilach wolnych od zabawy. Marzeniem głównym była szkoła. Być w szkole to jak w bajce! I było się w jakimś sensie, czego dowodem jest nazwanie przez Kazia i jego kolegów swojej szkoły „królestwem Kahlów”, od nazwisk nauczycieli, którzy niepodzielnie dzierżyli berła władzy nad uczniami.

Czy to było szczęśliwe dzieciństwo? Czy to możliwe w czasach ograniczeń i różnorodnych szykan okupanta? Radosna, mimo wszystko, nuta uczuciowa w opisie czasów okupacji nie neguje ważności patrzenia na nasze życie od strony przeciwnej, związanej z traumą rodzinnych rozstań, deprivacji materialnej i niepewnej przyszłości. Ona właśnie pozwala dostrzec zasadę kontrastu, która zadziałała w późniejszym życiu i sztuce Wiśniaka.

Opis dzieciństwa to punkt wyjścia, by zagłębić się w kosmos, jakim jest biografia każdego człowieka, prototyp arkadii, w jakiej przebywa ludzkie „Ja”, nim wydobędzie się na powierzchnię życia. Mamy tu do czynienia z wyjątkowo wyrazistym zjawiskiem prefiguracji późniejszych dokonań Wiśniaka w przestrzeni sztuki w okresie, gdy podwórko było jego miejscem codziennej krzątaniny, ale i radosnej zabawy.

KRAKÓW, KRAKÓW...

A gdy się zasłona podniosła, stałem się cały okiem
I osłupiałem na widok nieznanych mi ubiorów Amerykanów
I owych nigdzie nie widzianych wspaniałości, owych przepychów złotych
I kosztownych kamieni z lichego szkła.
Odurzony tem wszystkim chociaż mało co rozumiałem z treści
Sztuki, nie mogłem przyjść do siebie z zadziwienia.

Ze wspomnień Ambrożego Grabowskiego, użyte jako motto w Małym albumie (Mały album: 5)

W pewnym sensie można powiedzieć, że podobnie jak w dzieciństwie, tak i teraz proza życia i poezja zabawy splatały się z sobą, z tym że zarówno życie, jak i zabawa były zupełnie innego rodzaju. Bo marzenie pielęgnowane w domu, będące zapowiedzią rodzinnej wycieczki do Krakowa, na Wawel i do grobów królewskich, przekreślone przez wojnę, odżyło, ale już w innej postaci. Osobistej i konkretnej: pragnieniem odbywania studiów w dziedzinie wyjątkowo elitarnej, opromienionej sławą wielkich nazwisk o historycznym znaczeniu, mistrzów pędzla i dłuta. W tym wypadku